

954.



red.

40 lat

„PRZEZ CHARAKTER, WIEDZĘ I ZDROWIE — SŁUŻBA DLA POLSKI“

CZYM JEST POLSKA Y.M.C.A.

YMCA — to skrót nazwy „Young Men's Christian Association“. Litery te zostały zachowane w nazwie polskiego Chrześcijańskiego Związku Młodzieży, zwanego popularnie „Polską Imką“, dla upamiętnienia zasług, położonych w latach 1919—1922 przez YMCA Amerykańską, której ofiarna działalność w tym okresie na terenie Polski skłoniła nasze społeczeństwo do założenia podobnej organizacji.

POLSKA YMCA — jest ruchem młodzieży polskiej, samoistnym i niezależnym. Ze związkami YMCA w W. Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, które wielokrotnie udzielały nam przyjacielskiej pomocy, łączą nas tylko więzy serdecznej przyjaźni, organizacyjnie zaś nie zależyśmy od nikogo.

POLSKA YMCA — jest związkiem, albowiem zadaniem jej jest łączenie, wiązanie ze sobą ludzi.

POLSKA YMCA — jest związkiem ludzi młodych duchem i dlatego wiek członków organizacji nie jest ograniczony.

POLSKA YMCA — jest związkiem młodzieży chrześcijańskiej i cała jej ideologia oparta jest na etyce chrześcijańskiej.

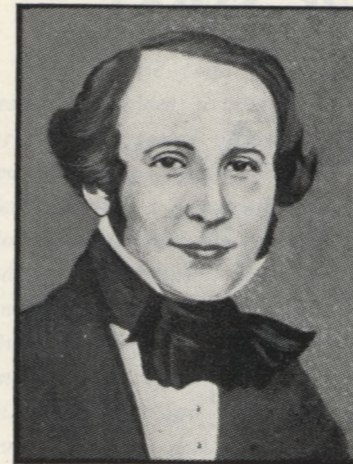
Głównym celem Polskiej YMCA jest wychowanie człowieka. Osobowość ludzka jest nierozdzielną jednością ducha, umysłu i ciała. Aby więc ukształtować człowieka harmonijnie, wszechstronnie — należy urabiać jednocześnie wszystkie te pierwiastki. Godło organizacji — czerwony trójkąt równoramienny — jest symbolem tej pracy.

Głównym zadaniem Polskiej YMCA jest kształcenie charakteru i poczucia obywatelskiego, wyrabianie tężyzny i sprawności fizycznej, zachęcanie i zaprawianie do pracy społecznej, umożliwianie najszerszym warstwom młodzieży i dorosłym pożytecznego spędzania wolnego czasu, aby przez pracę nad sobą i dla innych powiększali liczbę dobrych Polaków.



572355

D. 3100/85



SIR GEORGE WILLIAMS
1821—1905

YMCA W ŚWIECIE

Pierwszy Związek YMCA powstał w 1844 roku w Londynie. Założył go George Williams, młody sprzedawca sklepowy, w małym gronie przyjaciół, pracowników tej samej firmy. W duchowym klimacie czynnego sprzeciwu wobec zła moralnego i krzywdy społecznej — smutnych następstw Rewolucji Przemysłowej — związki YMCA powstają w wielu innych miastach Anglii i Szkocji. Z biegiem czasu YMCA dociera do Europy, Ameryki Północnej i Australii. W roku 1855 zostaje zwołana pierwsza konferencja światowa YMCA w Paryżu. Bierze w niej udział 9 związków krajowych, które się łączą w Światowe Zrzeszenie YMCA. W 1955 roku, również w Paryżu, na Jubileuszowej Konferencji Zrzeszenia, było 15 tysięcy delegatów reprezentujących 80 krajów i 4,000.000 członków. Wśród nich była także delegacja Polskiej Imki w Zachodniej Europie. YMCA w ciągu 119 lat swojego istnienia rozwinęła się w olbrzymi ruch młodzieżowy.

W każdym kraju Związek YMCA jest samodzielną, niezależną od innych związków organizacją i posiada swoje własne narodowe oblicze. Wszystkie jednak związki mają to samo naczelne zadanie: kształcenie charakteru młodzieży na zasadach etyki chrześcijańskiej.

Polska YMCA, której członkowie w olbrzymiej większości są wyznania rzymsko-katolickiego, nie prowadzi żadnej akcji religijnej, zostawiając tę dziedzinę życia, zgodnie z polską tradycją katolicką, Kościołowi, wypełnia program świeckiego wychowania młodzieży.

Praca i pożyteczna rozrywka w zespole, poznawanie różnych dziedzin życia, pogłębianie zainteresowań i rozszerzanie możliwości życiowych człowieka — oto w skrócie charakterystyka metody. YMCA hołduje zasadzie, że dobry uczynek na codzień ma główną wartość w kształceniu charakteru.

SKŁAD YMCA W POLSCE?

YMCA przybyła do Polski w r. 1919 z wojskiem gen. Hallera jako misja humanitarna Amerykańskiego Związku YMCA i nazwana została przez naszych żołnierzy „Ciocią Imcią“. Celem jej było niesienie pomocy materialnej, moralnej i kulturalnej walczącym żołnierzom. Działalność Amerykańskiej YMCA w czasie wojny polsko-bolszewickiej i w okresie powojennym jest dobrze znana naszemu starszemu pokoleniu. Ogniska, świetlice i kantyny żołnierskie. Rozdawanie żywności i książek. Opieka nad jeńcami. Szeroka działalność wśród kolejarzy i górników. Akcja samarytańska dla uchodźców. Opieka nad studentami. Propagowanie wychowania fizycznego i sportu. (YMCA wprowadziła do Polski nieznanne wówczas gry sportowe: koszykówkę i siatkówkę). Tak w ogólnym zarysie przedstawia się akcja Amerykańskiej YMCA.

Ponieważ była to tylko akcja doraźna, nie leżąca w programie organizacji, po wojnie w 1922 r. YMCA Amerykańska przystąpiła do likwidacji swych rozlicznych ośrodków. Wówczas grono Polaków, które współpracowało z YMCA i poznało nie tylko jej wojenną działalność charytatywną, ale i program pokojowy wśród ludności cywilnej, rzuciło myśl utworzenia Polskiej YMCA.

W marcu 1922 roku powstał Komitet Organizacyjny, złożony ze znanych i zasłużonych obywateli, który zwrócił się do Rządu Polskiego z prośbą o pozwolenie na stworzenie Polskiej YMCA, a do Amerykanów — z prośbą o przysłanie kogoś, kto by wyszkolił polski personel i w ogóle pomógł w stawianiu pierwszych, samodzielnych kroków. Komitet Międzynarodowy YMCA wydelegował do Polski Pawła Supera. Super miał zamiar być w Polsce tylko przez kilka miesięcy. Pozostał w niej aż do września 1939 r. jako doradca i dyrektor generalny Polskiej Imki. Polska urzekła go do tego stopnia, że do końca życia uważał ją za swoją przybraną ojczyznę.

8 grudnia 1923 roku odbyła się w Warszawie, w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej, uroczystość inauguracyjna. Zjazd wybrał Radę Krajową (naczelną władzę Polskiej Imki), która przejęła agendy i majątek Amerykańskiej YMCA. W tym roku więc przypada 40-ta rocznica urodzin naszej organizacji.

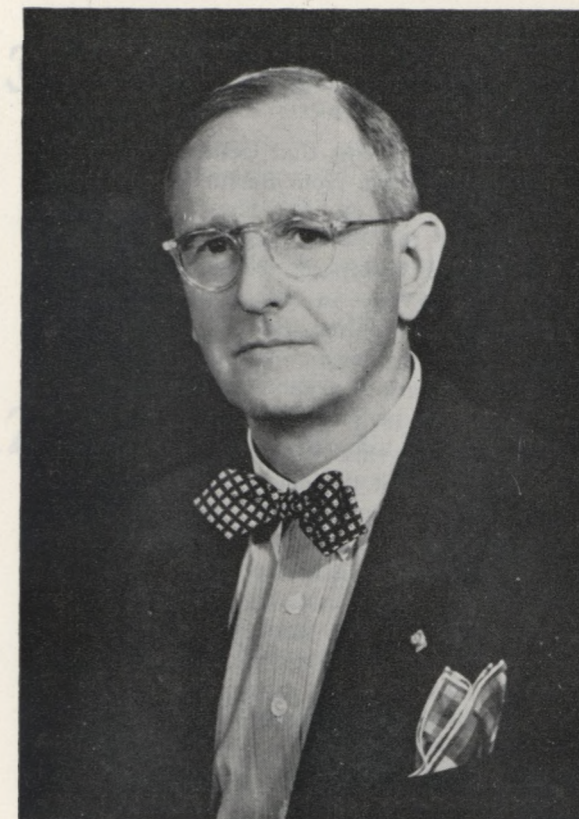
Kultura polska ma potężną siłę chłonną i zarazem przetwórczą. Przyjmując z Zachodu wartościowe idee, nadaje im swój własny kształt i swoją własną, rdzennie polską treść. Żywym przykładem polonizacji, narówni z takimi ruchami międzynarodowymi jak Czerwony Krzyż czy Harcerstwo, jest Polska Imka.

PAWEŁ SUPER

„Umiłowanie tego czy innego kraju nie zależy od miejsca urodzenia, ani też od miejsca urodzenia ojców i praojców. Rodzi się to umiłowanie z długich lat serdecznej zażyłości z krajem pobytu, z jego miastem i wioską, ulicą i domem, polem i lasem; ze scenerią tworzącą naszą powszednią rzeczywistość, z intymnej znajomości ludzi i rzeczy. Jakże prosto więc tłumaczy się to moje umiłowanie Polski: ja znam ten kraj! Znam jego najodleglejsze zakątki. Zjeździłem go wzdłuż i wszerz, z jednego końca w drugi dużo, dużo razy tak że poznałem go jak swoją własną kieszeń.

To samo dotyczy ludzi. Musisz ich pokochać, gdy ich dobrze poznasz. A któż zna Polaków lepiej niż ja!“

PAWEŁ SUPER W KSIĄŻCE „25 YEARS WITH POLES“.



ANDRZEJ KRASICKI

Andrzej Krasicki urodził się 6 kwietnia 1903 roku w Warszawie. Z YMCA zetknął się jako 18-letni chłopiec. Do Polskiej Imki należy od chwili jej powstania, najpierw jako skromny pracownik Biura Głównego, a od 1928 roku — jako jeden z najbliższych współpracowników Pawła Supera. W roku 1939 zostaje Dyrektorem Generalnym. W latach okupacji organizuje i kieruje akcją pomocy Imki dla Polaków — jeńców wojennych. Po wojnie inicjuje i prowadzi dzieło odbudowy i rozbudowy Polskiej Imki w kraju.

W roku 1947 zostaje powołany do Genewy do Komitetu Światowej YMCA do Działu Odbudowy i Rozwoju. Jednocześnie bierze udział w tworzeniu Polskiej YMCA w Europie Zachodniej.

Do końca życia uważał pracę nad zagadnieniami katolickimi w Światowym Ruchu YMCA za swoje szczególne zadanie.

Umarł 26 stycznia 1962 roku w Genewie.

THE YEAR 1922

How long ago seems that October morning in 1922 when the train from Berlin rolled into the Warsaw yards and our two boys and I had our first view of the Polish capital. My husband, having been in Europe on a YMCA assignment—most of that time in Poland—had met us in Hamburg. Much against his will, he had yielded to Polish and American urging and agreed to take over the work of organizing a civilian Polish Y and training personnel.

That "against his will" needs explanation. While convinced of the need of a Polish YMCA, he did not think he was the man to help bring it into being. With the exception of remnants of college German he had no foreign language and there certainly was no time for learning one. Moreover, he did not want to use German in talking with people who had suffered at the hands of Germans for more than a century. Therefore he felt that the trying task of liquidating the American Y work with Polish soldiers in the Polish-Bolshevik War and the creation of a civilian Polish Y should be under the direction of a man reasonably fluent in French.

But in the end he had yielded, and here we were in this utterly strange but fascinating Slavic land. For one or two years, the New York office men had said. So, on brief notice, since they did not want any delay in my husband's taking over the work through his return to America, I stored our household goods, rented our recently built home, and took passage for Europe, little dreaming that my stay in Poland would lack just one month of seventeen years.

The weather that autumn of our arrival—gray and chilly with a daily drizzle making streets and sidewalks sloppy—did not improve the appearance of a city that had undergone years of war and its attendant train of deprivation and hardships. But if the city itself was depressing, the spirit of the people with whom we were to be associated was just the opposite. Every one of them had suffered irreparable losses, and yet they could and did carry on cheerfully; they did not forget the tragedies of their past, but they looked for a brighter future, now that Polish independence has been restored.

There had been little we could learn about this restored state and its people before we left New York. Few books on it were as yet available. But we were anxious to learn and I can never forget the kindness and patience of English-speaking Poles who helped us during those first months of adjustment. Few are now among the living. It was most exasperating always to be dependent upon an interpreter. Even if we were to be in Poland only a short time it was imperative that I, at least, acquire a working knowledge of the language—and I was ambitious to have something more than "kitchen Polish". What that meant for a middle-aged adult no one who has not had a similar experience can appreciate. But thanks to the help I had from Poles who worked with me and to the courtesy that kept all Poles from laughing at my stumbling efforts, in time I was able to make myself understood, and occasionally to be of some assistance to my husband in the way of translation. What is more, I could read Polish with pleasure, and that opened up a whole new and fascinating world.

As for people, Polish youth interested us particularly, since it was with them the YMCA was concerned. As we saw the young men, they were eager new citizens endeavouring to prepare for participation in the development of the restored independent state. Well aware of the difficulties on every hand, they were nevertheless optimists; now that they had freedom they were sure of attaining their goals. Whatever their social origin they were poor as church mice, but their sense of humor made them take little note of shortages and inconveniences. Being human they had their faults; fortunately these were outweighed by their virtues.

And despite discouraging aspects the prospect for work with Polish young people was challenging. Yet it would have been folly had that work been undertaken without full knowledge of the problems to be faced and overcome. That first year was no sinecure. Liquidation of the war work—very different indeed from work with civilians in peace time—was to be a matter of months, and organization of the purely Polish YMCA a task of yet more months. So it was not

until December 1923 that the fledgling Polish Y came into existence.

Insignificant in scale at first; but that did not disturb the organizers, for dedicated men were back of it, and the foundations were sound. There was confidence that this was guarantee that the future would take care of itself. That confidence was long since justified. Not only the troubles of so-called normal times have been

lived through; the Polish Y has survived the World War II years—yes, more than survived, for it made YMCA history.

And so the month we celebrate our Association's 40th anniversary, rejoicing in the service it continues to render, in the good name it enjoys, and looking forward to the day when again it will be able to carry on in its native land.

Margaret L. Super

LIST OD PRZYJACIELA

Naramata, B. C.

7.10.63

My dear Tadeusz,

You do me an honour in asking me to set down a few thoughts for the occasion now approaching when you will celebrate the 40th Anniversary of the founding of the Polish YMCA. As I sit down to this task memories flood in, of people, of places and of notable deeds in the service of young men in those unforgettable first years of national independence. Many of those who worked with us have passed from the human scene—*Cześć ich pamięci!*—They laid firm foundations, building with faith in the future. To us who survive, they set a grand example.

As you remember, my wife and I had been civilian prisoners during the years 1914-1918 in Cieszyn, Silesia, and I had got to know something of the speech, the traditions and the hopes of the Polish Nation. As a consequence I was in a more fortunate position than most of my colleagues from the New World and so was used at times as interpreter and for literary work. Travelling a lot, I got to know almost every corner of the country, and all types of people.

My proper task was service to the students and this brought me into touch with all the universities—the oldest and the newly born. For at least two years this meant chiefly Relief Work, in which several agencies collaborated, including Hoover's A.R.A. Fortunately *Bratnia Pomoc* was led by resolute men and women, the authorities never despaired, and by 1922 the worst was over. In all this I made many friends, among them men like the poet Jan Kasprzowicz, famous scientists and beloved men of

letters. This kind of experience meant much to me and means much today.

Late in 1921 I was asked to resume charge of the transition stage of our work in Krakow, which led to the forming of a Board of Directors and the gift from the New World of dollars for the erection of the first of three Ogniskos. The task of building was taken over by a competent American E. O. Jacob, while I was busy with other things. But as an offshoot of those early years must be reckoned the restoration of a ruined Boundary Post in Szyce, north of Krakow (a former Russian Customs house) where a series of Summer Training Courses were held (we called it "Osada") until the pressure of need for Boys Camping at Mszana Dolna took our helpers away. For many those weeks at Osada must be even today a fond of memory. They are for me.

To my great regret I could not be present at the unforgettable December meeting in 1923 as I was away on furlough. On my return I was given a task of preparing a small booklet "*Sprawozdanie i Program*", as a sort of guide for all who were interested; and I then became responsible for the Journal "*Wiadomości*", which caused me many a headache. In 1925 I was in charge of preparing the *Materiały* presented by Polska YMCA to meet the Questionnaire put out by the World's Alliance in connection with the World YMCA Congress in Helsinki in 1926.

Then came a sudden emergency. The post of the Director of the Ognisko in Łódź was vacant, and Mr. Super pressed me to take it. In consequence, though we were living in Milanówek, I spent the spring, summer and winter of 1926

in the "Polish Manchester", where I learned a great deal. The Ognisko here had become the first in Poland to stand on its own feet financially, thanks in part to the generous backing of Dr. Alfred Grohman, who gave much time to our work. Alojzy Trypka, in charge of Boys' Work had the first Boys' Camp to be set as a local enterprise.

For these many and varied experiences and opportunities I have always been grateful, and I want to register my sense of debt to the fine men, young and older, who shared those foundation-laying years. It must not be forgotten that the nation was "on the spot" in those years: many people expected it to crumble, did not believe that it was capable of running its own affairs. How stupid they were! We can claim for the YMCA people no small share in holding the morale of that generation together.

I like the Polish phrase "szczęście lata". Although there were giants in the New Poland of those days, for most people self-government on a national scale was something new and formidable: too many simple folk thought it would mean an end of worries, above all, of taxation. Sancta simplicitas! Nevertheless the way men and women responded to their new responsibilities was something I shall never cease to look back on.

In 1947 I was in Poland for three weeks, and saw the misery of destruction and confusion. But



Prof. William J. Rose w otoczeniu uczestników kursu dla pracowników YMCA w Osadzie Szyce

I found Ciocia Imcia not only surviving but beginning to set her house in order after eight years of woes. Since then things have gone wrong in a way we all deplore. And now, only outside Poland can we celebrate and rejoice in the achievements of long ago. Here the banner of the Red Triangle (Czerwony Trójkąt) still can be kept flying, and its message will not die, —that of good health for body, mind and spirit, and the will to serve one's fellow-men.

*Szczęść Wam Boże w pracy!
Zawsze oddany,
William J. Rose*



Gmach Polskiej YMCA w Warszawie

40 LAT...

Historia dla Rzymian (i Greków) była „rerum cognitio praesentium” — nauką o współczesności, opartą na bezpośredniej obserwacji. Dla nas historia jest nauką o przeszłości, której podstawą jest pośrednia relacja. Określenie więc „historia współczesna” jest paradoksem, oczywiście koniecznym, bo jak wypełnić lukę między zaledwie dokonanym „wczoraj” a zaledwie nastającym „dziś”? Jakikolwiek podział na przeszłość i terażniejszość jest zawsze arbitralny, jedyną bowiem miarą jaką rozporządzamy jest śmiesznie mały odcinek ludzkiego życia. To, co dla jednego jest odległą przeszłością, zasługującą już na miano historii, dla drugiego jest wciąż dojmującym czasem terażniejszym, w którym chętnie przebywa, nawet bez specjalnego wysiłku pamięci. Wypadki, w których uczestniczył, lub które tylko obserwował, powoli lecz nieuchronnie przemieniają się w zdarzenia historyczne, ludzie którzy je powodowali, przeistaczają się w historyczne postacie. Ich wspólne przeżycia, upadki i wzloty, zwycięstwa i klęski, stają się historią.

Historii uczymy się by zrozumieć i by pokochać. Jej znajomość wyodrębnia nas z masy innych ludzi w pewną określoną zbiorowość. Znajomość ta warunkuje poczucie przynależności, bez którego przecież żaden organizm społeczny istnieć nie może, i łączy pokolenia w pewne duchowe continuum, bez którego nie ma rozwoju. Historia jest duchem, który ożywia i tkanką łączną, która zespala. Historia jest po prostu życiem.

PRAPOCZĄTKI

Pierwsze lata niepodległości stały pod znakiem improwizacji. Trzeba było możliwie szybko zbudować nowoczesne państwo o zdrowym i silnym ustroju politycznym i społecznym w warunkach strasznego wyniszczenia materialnego i wciąż toczących się wojen, przy zupełnym braku ludzi i środków. W roku 1919, z armią generała Hallera, przybyła do Polski amerykańska YMCA. Właściwym jej celem była opieka nad żołnierzem, ale warunki zmusiły ją do przygarbienia pod swoje skrzydła i ludności cywilnej wszelkiego autoramentu. YMCA amerykańska

po bohatersku wywiązała się z tych małopopisowych zadań, zaskarbiając sobie wdzięczność społeczeństwa i przygotowując glebę i klimat, w którym zaczęła nieśmiało kiełkować idea własnej, polskiej YMCA.

W roku 1922, gdy Amerykanie zbierali się do odjazdu, powstał w Warszawie komitet, złożony ze znanych, a nawet wybitnych osobistości. Komitet zwrócił się do Amerykanów z prośbą o pomoc techniczną w założeniu podwalin nowej, już czysto polskiej organizacji. John R. Mott, prezes światowej YMCA, odpowiedział przychylnie i wydelegował do Polski Pawła Supera, podówczas sekretarza Międzynarodowego Komitetu YMCA do spraw szkoleniowych, z poleceniem pokierowania pracami przygotowawczymi. 22 marca Super przyjechał do Warszawy. 30 marca komitet otrzymał od rządu formalny akt erekcyjny. Zaczął się gorączkowy okres przygotowań.



W Osadzie Szyce

Super postanowił oprzeć gmach Polskiej YMCA na trzech głównych filarach: ośrodku krakowskim, łódzkim i warszawskim. Były one

już dostatecznie mocno wrośnięte w teren, dały gwarancję, że się nie rozlecą. Inne ogniska i świetlice, rudymenta Imki amerykańskiej, musiały ulec zwinięciu: wymagała tego, niestety, ekonomiczna rzeczywistość. Skoncentrowawszy się więc na tych trzech miastach, Super miał do rozwiązania dwa problemy: problem środków w konkretnej, materialnej postaci i problem ludzi z technicznymi kwalifikacjami pracowników społecznych. Obydwa problemy rozwiązał wspólnie z osiadłym w Polsce Kanadyjczykiem W. J. Rose'm, sekretarzem ośrodka krakowskiego, werbując dla sprawy YMCA ludzi wpływowych z administracji, przemysłu i świata intelektualnego i zakładając szkołę dla sekretarzy w osadzie Szyce pod Krakowem. Ze szkoły tej wyszło wielu wybitnych działaczy jak Zygmunt Zieleniewski, późniejszy sekretarz Działu Chłopców w Warszawie, Andrzej Krasicki, Władysław Janiszowski, Aleksy Leśniewicz, Alojzy Trypka, Tomasz Kozłowski, Tadeusz Zawadzki, obecny dyrektor Polskiej YMCA.

POWSTANIE

Tymczasem Komitet Organizacyjny, działający w Warszawie, przemianował się na Centralny Komitet Polskiej YMCA, liczący ok. 20 osób. Liczebność i ciężar gatunkowy tego de facto pierwszego Zarządu, był istotnie imponujący. Zasiadali w nim uczeni o europejskiej sławie, generałowie, ministrowie Oświaty, Zdrowia i Opieki Społecznej, marszałek Sejmu Maciej Rataj i Jan Kasprów — poeta. To że w ogóle znaleźli czas dla sprawy Polskiej YMCA, nie było kwestią przypadku. Widzieli w niej jeden z ważnych czynników wychowawczych, który miał wykształcić nowy typ obywatela-Polaka. Tak więc, już od samego początku, specyficznie polskie warunki nagięły amerykański pierwotny wzór do polskiej rzeczywistości. Każdy następny rok jeszcze bardziej pogłębiał ten proces asymilacyjny. I w końcu, anglosaska z pochodzenia YMCA, spolonizowała się zupełnie. Zamieniła się po prostu w swojsko brzmiącą Imkę.

Jesienią 1923 r. prace przygotowawcze weszły w stadium końcowe. Postanowiono zwołać na 8 grudnia zjazd delegatów, zatwierdzić statut, wybrać Zarząd Główny i formalnie ogłosić powstanie Polskiej YMCA. Uroczystość inauguracyjna odbyła się w sobotę rano w domu przy ul. Miodowej, w obecności Prezydenta St. Wojciechow-

skiego. Delegaci na zjazd w liczbie 80-ciu, wybrali do Zarządu: St. Staniszewskiego — prezes, R. Kutylowski — skarbnik, W. Zawiszę — sekretarz i St. Dziewulskiego, A. Janowskiego, R. Dyboskiego, E. Lansberga i A. Grohmana — członkowie. Paweł Super został ponownie wybrany na Dyrektora Głównego. Tak oto powstała Polska Imka.

PIERWSZE KROKI

Pierwsze samodzielne kroki w zdewastowanym wojną i nekany inflacją kraju, były bardzo trudne. Sportowo-klubowy program Imki — rzecz w kraju całkowicie nowa — wymagał specjalnych pomieszczeń, których, oczywiście, nie było. Pierwsze więc lata upłynęły w wynajętych i tylko odpowiednio przystosowanych budynkach, uważanych zresztą od początku za prowizorium.



Pierwsza własna siedziba Polskiej YMCA.
Kraków, ul. Krowoderska

Pierwszy typowy budynek Imki zaczął powstawać w Krakowie, na rogu Krowoderskiej i Biskupiej. Pod energicznym kierownictwem Earle Cummings'a i E. O. Jacob'a, ze składek społeczeństwa, wspartych hojnym darem amerykańskiego przemysłowca S. P. Fenn'a ukończono budowę w roku 1927. W Łodzi, A. A. Ebersole i T. Kozłowski wyporządkowali dwa duże domy przy ul. Piotrkowskiej. W Warszawie Imka przeniosła się z Biblioteki Krasieńskich do własnego budynku na Miodowej. Jej sekretarz, Merle Scott, entuzjasta obozownictwa, zaczął się rozglądać za odpowiednim terenem pod stały obóz letni. Znalaziono go w Karpatach, w Mszanie Dolnej. W ciągu kilku lat zbudowano tam bodajże najlepszy

tego rodzaju obóz w całej Europie. Drugi obóz powstał nad Pilicą, w pobliżu Łodzi. Trzeci planowano na Wybrzeżu, koło Wieżycy.

Ogniska miejskie i obozy od samego początku pracują w granicach swojej maksymalnej pojemności. Różnorodność programu, doskonałość sprzętu, wysokie kwalifikacje fachowe instruktorów, ściągają tłumy młodzieży i dorosłych. Idea Imki „chwyciła“. Z ogólnym wzrostem dobrobytu, Imka, z instytucji popularnej, zaczęła się przekształcać w instytucję modną. Nie jest po prostu w stanie sprostać społecznemu zapotrzebowaniu: liczba członków-uczestników wzrasta w postępie więcej niż geometrycznym. Na szczęście rosną również szeregi wolontariuszy ze wszystkich szczebli drabiny społecznej. W Warszawie, Prezydentowa Mościcka i Marszałkowa Piłsudska patronują kampaniom finansowym, w Krakowie, na łamach Ikaca, Zygmunt Nowakowski apeluje do „centusiów“ o szóstak na opuszczone dzieci ulicy, które przyhołubiła Imka. Praca wśród t.zw. uliczników, często młodocianych przestępców, była zaiste robotą pionierską. Zapoczątkowana przez H. Johanna z YMCA Szwajcarskiej i B. Chesley'a, Anglika często odwiedzającego Polskę, miała w późniejszych latach przynieść takie wspaniałe rezultaty, jak Ośrodek „Starówka“, liczący 1000 chłopców i 35 przodowników, prowadzony przez K. Rojka. W ogóle Dział Chłopców był czkiem w głowie Imki i przedmiotem dumy nowej kadry sekretarzy — Polaków, takich jak P. Kurnicki, A. Trypka, J. Bednarek, wysoko wykwalifikowanych instruktorów wychowania fizycznego i jednocześnie oddanych przyjaciół młodzieży.

ROZWÓJ

Wychowanie fizyczne, sport działa jak magnes na wszystkich młodych i zdrowych ludzi. Wyobraźmy sobie jego siłę przyciągania w latach dwudziestych, gdy ten stosunkowo nowy wynalazek Anglosasów stawał w naszym kraju swoje pierwsze kroki. Już sama terminologia fascynowała: Crawl, net, out, walkover, a cóż dopiero autentyczni amerykańscy trenerzy, tacy jak np. Frank Eyman, główny dyrektor sportu, którzy tego wszystkiego uczyli! Dodatkową atrakcją sportu była możliwość podróży po kraju na rozmaite mecze, i wyjazdów nawet za granicę np. na Olimpiadę Imek w Danii, w której w roku 1927 nasza ekipa pod kierownictwem Witolda

Hulanickiego zajęła 12-te miejsce. Sport w Imce nigdy, oczywiście, nie miał charakteru wycieczkowego. Służył wyższemu celowi niż ustanowienie rekordów. Był jednym ze środków wychowawczych, odkrywających nowe możliwości spędzania wolnego czasu nie tylko przyjemnie, ale i z pożytkiem dla ciała i charakteru. O umysł troszczyły się rozmaite „kluby zainteresowań“, kursy, odczyty itp. Całość dawała się lapidarnie ująć w charakterystycznym dla Polskiej Imki hasło: „Przez charakter, wiedzę i zdrowie — służba dla Polski“. Hasło dość szumne, niemniej prawdziwie oddające istotę rzeczy. Zapewne mało kto z członków-uczestników zdawał sobie sprawę, że w swoim klubie czy na boisku przechodzi szkołę demokracji, cnót obywatelskich i pracy społecznej — tak „bezbolesne“ były metody wychowawcze Imki, tak duża zdolność łączenia wzniesłego z praktycznym.

Kryzys lat trzydziestych nieco przyhamował impet rozwojowy Imki, ale go nie zatrzymał. Członkostwo spadło, zmalały źródła dochodów, pomoc dla bezrobotnych domagała się niepodzielnej uwagi, energii i środków. Super i jego najbliższy od wielu lat współpracownik, Andrzej Krasicki, dwoili się i troili w poszukiwaniu nowych rozwiązań finansowych, w kraju i za granicą. Właśnie w tych trudnych dniach zapadła decyzja budowy nowych gmachów w Warszawie i Łodzi. Uważano, że wizja wielkiego dzieła poruszy wyobraźnię ludzi i skłoni ich do ofiar. Tak się też stało. Wpłynęły dary od społeczeństwa w kraju, z Ameryki, a z Kanady David J. Mills przysłał 100.000 dolarów. Zaczęto budowę dwóch największych Imek w Europie: Warszawską, którą ukończono w 1937 roku i Łódzką — zaraz po wojnie.

W latach 1933 i 1934 powstały dwa nowe ogniska. Jedno w Poznaniu, a drugie w Gdyni. Inicjatorem obu był Aleksander Radel, skromny pracownik, który nie wiedział być może, że idzie śladami George'a Williams'a, założyciela pierwszej YMCA w Londynie. Obydwa były natychmiastowym sukcesem, wymagały etatowych sekretarzy. Pierwsze objął Henryk Majchrzak, a drugie Antoni Wójcicki. Szczególnie Ognisko gdyńskie, na tle dynamiki młodego miasta, kryło w sobie ogromny potencjał. Planowano tam duży nowy budynek na bulwarze nadbrzeżnym, stały obóz w Wieżycy, no i oczywiście własny Yacht-Club. Z tych zamierzeń zrealizowano Obóz i Klub Yachtowy. Na dom zabrakło czasu.



Pierwszy stały obóz letni Polskiej YMCA „Beskid“ koło Mszany Dolnej

Tak więc, po piętnastu latach niepodległości, mieliśmy w Polsce niejako trzy rodzaje Imki: „morską“ — w Gdyni, „powietrzną“ — w postaci klubu szybowcowego — w Warszawie i „górską“ — w postaci Klubu Narciarskiego, zwanego „Skimką“ — w Krakowie. Każde ognisko, z wyjątkiem „bezwodnej“ Łodzi, miało swoją przystań żeglarsko-kajakową. Dorzucmy do tego obozy stałe i wędrownie, a otrzymamy obraz Imki — prekursorki tak popularnego po wojnie ruchu campingowego: spędzania wakacji i urlopów na łonie natury. Dorzucmy jeszcze typowe dla wielkomiejskich ośrodków kluby zainteresowań i wszelkie kursy dokształcające i oto mamy inny aspekt Imki — prekursorki popularnego obecnie zjawiska instytutów wieczorowych, jako alternatywy rozrywek biernych i moralnie bezwartościowych lub szkodliwych.

Całym tym rozległym i skomplikowanym mechanizmem kierował sztab złożony z 40-tu polskich sekretarzy i jednego Amerykanina, przy pomocy tysiąca wolontariuszy. Obsługiwali oni około 20.000 osób, przeważnie młodzieży. Przy dziennej frekwencji bezmała 5.000 osób, problemy logistyki były stale pierwszorzędowej wielkości. Że je z powodzeniem rozwiązywano, świadczy o niezwykłej dojrzałości organizacyjnej tak młodej, bo zaledwie 15 lat sobie liczącej organizacji.

W DYMIE POŻARÓW

Wśród ludzi znających Imkę jedynie z widzenia utarło się mniemanie, że Imka jest organi-

zującą dobroczynną. Otóż nieprawda. Cnoty samarytańskie, w normalnych warunkach, obowiązują Imkę w tym samym stopniu, co każdą inną chrześcijańską organizację, czy też każdego chrześcijanina. Typowa Imka, w normalnym kontekście ludzkiego życia, jest instytucją *przed wszystkim* wychowawczą. Staje się *przed wszystkim* charytatywną jedynie w czasach wyjątkowych, w czasach, gdy nagle nieszczęście redukuje zakres potrzeb człowieka do najpodstawowszych: nakarmić, przyodziać, pocieszyć. Wojna jest takim stanem wyjątkowym.

„Polska YMCA w czasie wojny“ — temat przewodni dorocznego Walnego Zjazdu w kwietniu 1939. Zadanie: przestawić Imkę z pracy pokojowej na wojenną tak, by wkład jej w obronę kraju był jak najbardziej wydajny. Przeszkolić ludzi i przygotować schemat mobilizacyjny świetlic, kantyn i gospód żołnierskich. W planach tych, opartych o doświadczenia I Wojny Światowej, nie przewidziano „Blitzkriegu“, który ogromną ich większość zniweczył w zarodku. Poza kilkoma improwizacjami, Imka nie miała najmniejszej szansy na rozwinięcie swojej zaplanowanej roboty wojennej. Po klęsce podzieliła los całego kraju: budynki zajęte przez wroga, pracownicy i członkowie w rozsypce. Jedni w obozach jenieckich, inni na wygnaniu. Co robić? Od czego zacząć? „Sulla suos hortatur ut forti animo sint“. — Sulla nawoływał swoich by byli mężnego serca. — We Wrześniu wszystkie okolicznościowe zakłęcia straciły magiczną siłę. Słowo się zdewałowowało. Po wielkich czynach zostało bolesne wspomnienie. Życie zmalało nagle do biologicznego przetrwania. Zachowały swoją wartość jedynie dobre uczynki.

Opowieść o Polskiej Imce w Drugiej Wojnie Światowej dzieli się na trzy wątki. Pierwszy — Imka w kraju, drugi — Imka w obozach jenieckich Niemiec i Szwajcarii i trzeci, najrozleglejszy — Imka Polski Walczącej na Zachodzie.

Imka w Polsce, na której czele stanął teraz Andrzej Krasicki, podzieliła los wszystkich instytucji patriotycznych: została zlikwidowana. Oficjalnie nieistniejąca Imka istniała jednak nadal, zakonspirowana, działająca pod szyldem Przedstawicielstwa Pomocy Jeńcom. Zadaniem jej było: nakarmić, przyodziać i pokrzepić na duchu, w miarę z dnia na dzień kurczących się możliwości. Po pierwszym półroczu niewoli jedynie Pomoc Jeńcom funkcjonowała regularnie

i sprawnie. Polegała ona na wysyłce książek, sprzętu sportowego i świetlicowego do obozów, co umożliwiała imkarzom-jeńcom organizowanie kół Imki w wielu Stalagach i Oflagach Rzeszy. Powstanie Warszawskie, w którym Imka ujawniła się w swojej normalnej, wojennej roli opiekunki walczącego żołnierza, położyło kres ostateczny tej działalności. Akt kapitulacyjny, zastrzegający Imce prawo do opieki nad powstańcami idącymi do niewoli, jest ostatnim aktem dramatu. Imka w jakiegokolwiek formie przestaje w Polsce istnieć do stycznia 1945 roku.

W szwajcarskich obozach internowanych sytuacja była, oczywiście, zupełnie inna. Neutralna i życzliwa dla Polski Szwajcarii umożliwiła genewskiej YMCA z Henri Johannot na czele, zrobić wszystko, by pomóc Tomaszowi Kozłowskiemu, byłemu sekretarzowi z Łodzi w zorganizowaniu gęstej sieci świetlic, warsztatów, kursów, nawet szkół. W rezultacie, obozy internowanych zamieniły się nieomal w internaty, a YMCA szczęśliwie mogła spełniać zadania wychowawcze raczej niż samarytańskie do samego końca wojny.

Jeszcze inaczej było w Rumunii i na Węgrzech. Tutaj stutysięczny bez mała exodus wojskowych i cywilnych znalazł się nagle wśród obcych, ogłuszony klęską, bez dachu nad głową, bez pieniędzy i bez nadziei. Wśród nich znalazł się również Super, Tadeusz Dyboski, prezes Rady Krajowej Imki i garstka sekretarzy: Marian i Alojzy Trypka, Henryk Majchrzak i Czesław Bukowski. Ci mieli jasną wizję co robić i jak: zrealizować to, na zrealizowanie czego w Polsce zabrakło czasu. Przy pomocy wolontariuszy i oparciu o miejscowe Zrzeszenia YMCA, Polska Imka pokryła Rumunię i Węgry rozległą siecią świetlic, które karmiły, odziewały i pokrzepiały wszystkich potrzebujących, bez względu na ich status, przekonania polityczne czy religijne. Teatry, „Lwowska Fala“ Wiktora Budzyńskiego w Rumunii i „Kukielek“ Wojciecha Wojteckiego na Węgrzech, i założony przez H. Majchrzaka tygodnik „Nasza Świetlica“, podnoszą upadłych na duchu potężną dawką polskości, której brak w pierwszym okresie pielgrzymstwa był szczególnie dotkliwy. Doświadczenia Polskiej Imki na terenie Węgier i Rumunii są wyjątkowo cenne. Pozwoliły one na udoskonalenie wzorów przedwojennych, na ich modernizację i przystosowanie do nowych warunków wojny totalnej.

DRÔLE DE GUERRE

Dla wędrowców polskich roku 1940-go Rumunia i Węgry były jedynie chwilowym przystankiem na drodze do Francji. We Francji było właściwie miejsce postoju Polski Walczącej. Był rząd i prawdziwe, uzbrojone wojsko. Miejsce Imki było we Francji w styczniu Super zaproponował wiceministrowi Spraw Wojskowych gen. Kukielowi zorganizowanie świetlic dla żołnierzy W.P. Razem z Antonim Wójcickim organizuje Centralę w Paryżu i rozpoznaje teren obozów wojskowych. Dołącza do nich Henryk Majchrzak. Pierwsze próby współpracy z władzami wojskowymi nie są zbyt zachęcające. Atmosfera rozrachunków z przeszłością, charakterystyczna dla tego okresu, brak jasnej koncepcji co do przyszłej roli Imki — towarzyszkii żołnierza, stwarza nagle i nieoczekiwane przeszkody. Mimo to powstaje pierwsza świetlica w Carpiagne. Dalszy ciąg świetlic przerywa Blitzkrieg. Super musi pośpiesznie uchodzić do Portugalii. Stamtąd wyjeżdża do Ameryki, by już nigdy do swojej przybranej ojczyzny nie wrócić. Wójcicki i Majchrzak przedostają się do Szkocji. Polska YMCA przenosi się z Paryża do Vichy. Ciężki obowiązek dobrych szafarzy spada teraz na Zdzisława Wojdata i Bohdana Samborskiego; obowiązek zaopiekowania się wielką rzeszą Polaków, których klęska Francji osadziła na nieokupowanym terenie. Sytuacja tych ludzi była bardziej opłakana niż kiedykolwiek na Węgrzech czy w Rumunii. Nowa klęska obdarła ich już nie tylko ze wszystkiego mienia, ale i z resztek nadziei. W Imce znaleźli jedyną patronkę. Jako sekcja



Gmach warszawskiej Imki zniszczony podczas działań wojennych

oficjalnej „Jeunesse Française“ Polska Imka miała dużą swobodę działania i wykorzystwała ją do ostatnich granic możliwości. Każde prawie polskie skupisko otrzymało swój własny ośrodek Imki. Liczba ich doszła do 66. Po ostatecznej okupacji Francji w 1942 r. większość, wraz z Centralą Polskiej Imki w Tuluzie, została zamknięta. Wojdat szczęśliwie uniknął aresztowania i kierował Imką z podziemia aż do końca wojny.

INTERLUDIUM

Po upadku Francji, ostatnią warowną oazą wolności została Anglia. W Anglii znalazł schronienie Rząd Polski, Polskie Siły Zbrojne i wielu uchodźców cywilnych.

W 1942 r. spłynął na Środkowy Wschód stutysięczną falą — exodus Polaków z Rosji. Londyn stał się stolicą Polski, przemieszczonej na czas wojny z nad Wisły do dziesiątka egzotycznych krajów Afryki i Azji. Każde miejsce postoju oddziałów wojskowych, każde osiedle cywilne stało się automatycznie częścią ojczyzny, posłuszne reskryptom Rzeczypospolitej, czekające na hasło powrotu. Bierne oczekiwanie powrotu, którego daty nie sposób przewidzieć, rodzi zwątpienia, demoralizuje. Jedynie silni wiarą wychodzą zwycięsko z próby czekania. Na przyjaznym terenie administracji angielskiej nie brakowało Polakom chleba, brakowało im polskich imponderabiliów, których Anglicy, przy najlepszych chęciach, dać nie mogli. Musiały być wyprodukowane we własnym zakresie i własnymi siłami. Polska Imka poczytywała sobie za swój obowiązek i przywilej sprostać temu zadaniu. Do niego przecież był dopasowany cały jej program czasu wojny: — zachować Polaków dla polskości w dobrej kondycji fizycznej i duchowej, wykorzystać pobyt na obczyźnie na zaprawę do pożytecznej pracy po powrocie do kraju, ułatwić procedurę urządzania nowego życia w obcym środowisku. Imka już we Wrześniu przestała być organizacją sensu stricto, dbającą jedynie o interesy swoich zarejestrowanych członków, stała się instytucją powszechną, służącą wszystkim Polakom. Do służby tej była, z racji swoich koneksji ze światem anglosaskim, szczególnie powołana. Znała i język i mentalność ludzi, z którymi ogromna większość Polaków nie odczuwała żadnego kulturalnego powinowactwa, z którymi stykała się po raz pierwszy w życiu. Miała konkretny punkt zaczepienia w Imce Brytyjskiej i życzi-

wego przyjaciela w osobie naczelnego jej dyrektora Sir Franka Willisa. To wszystko niezmiernie ułatwiło zakładanie i rozbudowę ośrodków Polskiej Imki wszędzie, gdziekolwiek zachodziła tego potrzeba.

W PIERWSZEJ LINII

Pierwsze placówki Imki zaczęły powstawać w Szkocji w grudniu 1940 r. Inicjował je Henryk Majchrzak. Liczba ich rosła bardzo szybko. W 1942 r. ponad 30 rozmaitych ośrodków Imki zamieszkiwało się w Polskim Wojsku, Lotnictwie i Marynarce. Centrala Imki przenosi się z Edynburga do Londynu. Tu powstaje Komitet Centralny, którego prezesem zostaje Tadeusz Tomaszewski, prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa, a wiceprezesami admirał Unrug i konsul F. Kollat. Henryk Majchrzak jest dyrektorem, a Antoni Wójcicki — zastępcą i redaktorem „Poradnika Świetlicowego“. Poradnik Świetlicowy, którego redakcję później obejmuje Mieczysław Giergielewicz, będzie przez długie lata inspiracją pracy kulturalno-oświatowej wielu ośrodków polskich na całym świecie. Będzie często jedynym doradcą nie tylko sekretarza Imki, ale również nauczyciela, oficera oświatowego czy księdza kapelana. Nowy typ żołnierza, społecznie i politycznie uświadomionego, wymagał od kierowników świetlic wysokich i wszechstronnych kwalifikacji. Polska Imka przygotowywała kadry takich pracowników.

Tymczasem otwiera się przed Imką nowe, rozleglejsze pole działania na Środkowym Wschodzie, wśród Polaków ewakuowanych z Rosji. Tu-



Dziesiątki wozów-kantin obsługiwało żołnierzy Wojska Polskiego w akcji

taj działają Marian Trypka i Hanna Drymmersowa. Już w sierpniu 1942 r. powstaje pierwsza Polska Imka w Bagdadzie. Generał Anders przyobiecuje pomoc w rozpoczęciu pracy na terenach obozów wojskowych. Powstają świetlice i kantyny przy wszystkich większych jednostkach. Wędrują one z jednego Miejsca Postoju na drugie. Stają się integralną częścią 2 Korpusu, z którym odbywają całą włoską kampanię. Polską Imką we Włoszech kierowali: Tadeusz Kunicki, Zofia Drzewieniecka, Adam Strzeszewski i Juliusz Poniatowski, delegat Rady.

Tak oto działa Imka przyfrontowa: we Włoszech — 2 Korpus, w Anglii — Armia, Lotnicy i Marynarka, na kontynencie Europy — Pierwsza Dywizja Pancerna i Brygada Spadochronowa. Działalność ta w miarę narastania zwycięstwa nabiera coraz to większego impetu i osiąga punkt kulminacyjny po upadku Niemiec. Wybuchowi wolności towarzyszyły nieopisane obrazy nieszczęścia ludzkiego. Szczupła ekipa polowa Polskiej Imki przy oddziałach W.P., kierowana przez Tadeusza Świerczyńskiego, była za mała by podolać takiemu ogromowi nędzy, ale w ciągu dwóch lat okupacji rozrosła się w potężną organizację liczącą około 250 pracowników. Z Tadeuszem Zawadzkim, J. P. Olesińskim i T. Świerczyńskim na czele, śpieszyła z pierwszą pomocą powracającym do życia ofiarom totalnej wojny. Gospody i kantyny, stołówki i hotele, świetlice i kluby, teatr Schillera, czołówki rewii i polowe kina, biblioteki wędrownie i żywe dzienniki — oto karty z dziennika działań Polskiej Imki tych heroicznym czasom totalnej rehabilitacji.

W 1947 roku Imka Polska zwija swoje rozliczne agendy, wraz z wojskiem, zamiast do kraju, wraca do Wielkiej Brytanii, by się zdemobilizować na emigracji.

NA TYŁACH

Naturalną scenerią opowieści wojennej jest oczywiście linia frontu, a bohaterem — żołnierz. Głębokie tyły mniej zaprzatają uwagę dziejopisarza. Stąd pewna niesprawiedliwa dysproporcja w oficjalnym uznaniu zasług. Wszyscy wiedzą o wyczynach frontowych, o pracy na głębokich tyłach — głęboka cisza. Niesłusznie. Bo była ona również pożyteczna i ważna, a na pewno bardziej egzotyczna. Do polskich wiosek na równiku dotarła Imka w lutym 1943 r. Z głównej centrali w Nairobi, Tadeusz Świerczyński, a po nim Jan Barański, rozwinął sieć oś-

rodków w Kenii, Tanganice, Ugandzie i obu Rodezjach z typowym programem wychowawczo-sportowym, przykrojonym do potrzeb młodzieży i dzieci. Osiedleńcy, w większości ludność Kresów Wschodnich, po raz pierwszy zetknęli się intymnie z Polską Imką. Któż by to przypuszczał, że przedwojenne plany Imki otwarcia ognisk we Lwowie i Wilnie zrealizują się w tak fantastycznych okolicznościach.

Innym obszarem tyłowym, obsługiwanym przez Polską Imkę, był teren Palestyny, Egiptu, Libanu i Syrii. Tutaj pod kierownictwem Witolda Hulanieckiego, prezesa Rady Polskiej Imki na Środkowym Wschodzie, Imka służyła przede wszystkim uczącej się młodzieży. Więc poza sakramentalną świetlicą i kantyną zajmowano się tysiącem innych rzeczy, niezbędnych w życiu junaków-sztubaków. Czasopismo „Junak“, redagowane przez Tadeusza Rokickiego, boiska, sprzęt sportowy, pomoce naukowe, instrumenty muzyczne, kostiumy do „Halki“ itd., itp. Wiele pomysłowości, inicjatywy i troski włożono, by lata szkolne tej młodzieży upłynęły w możliwie znośnych warunkach, żeby wychować ją na przyzwoitych ludzi i dobrych Polaków. Wielka zasługa w tym Zofii Drzewienieckiej, dyrektorki Polskiej Imki w Palestynie i Egipcie.

Po wojnie, wbrew nadziejom i pobożnym życzeniom, wszystkie Polskie Imki z 20 krajów wojennego rozproszenia, wracają do Anglii. Przez kilka następnych lat, gdzieś do roku 1949, Polska Imka posiada wciąż kilkadziesiąt placówek, obsługujących demobilizujące się obozy wojskowe i rosnące obozy cywilne. Potem liczba ośrodków gwałtownie się zmniejsza. Wielkie skupiska polskie topnieją i rozplývają się w angielskim otoczeniu. Pozostaje Ognisko w Londynie przy Cadogan Gdns. i kluby w: Barnsley, Sheffield i Croydon, oraz smutne problemy urzędzenia egzystencji na emigracji.

PRAESENS HISTORICUM

W Polsce los Imki nie jest wcale weselszy. Po pierwszym okresie względnego liberalizmu, w którym uruchomiono i odbudowano wszystkie przedwojenne ogniska i ośrodki i założono nowe, przyszedł okres stalinizacji. Kierownictwo Imki, ludzie którzy Imkę zbudowali lub zostali przez nią wychowani: Marian Wroński, Stanisław Baran, Władysław Janiszowski, Tomasz Kozłowski i Aleksy Lesniewicz byli bezsilni wobec nacisku władz. W październiku 1949 r.



Tuż po wojnie Polska YMCA w Kraju rozdała setki ton żywności, lekarstw i odzieży...
K. Korzystka, K. Smith, S. Baran i M. Wroński przy odbiorze transportu

Polska Imka w kraju została ostatecznie zlikwidowana.

Wiek, w którym żyjemy, XX po Chrystusie, jest wiekiem ludzi bezdomnych. Jest wiekiem bezdomnych narodów w poszukiwaniu nowych siedzib. Migrujące narody, przywiązane do swoich tradycyjnych form życia, przenoszą się z miejsca na miejsce z całym swoim dobytkiem duchowym. Pod obcym niebem, wśród obcych ludzi odtwarzają z pietyzmem swoje instytucje na obraz i podobieństwo tych, które uległy zagładzie. Lary i Penaty ze zburzonego domu.

Pamięć rodzimych wzorów jest szczególnie silna u Polaków. Komitet Światowy YMCA zdawał sobie sprawę z tej właściwości polskiej, gdy w 1953 roku na Plenarnym Zjeździe w Genewie przychylił się do żądania władz Polskiej Imki przyznania jej statutu niezależnego ruchu narodowego, który, aczkolwiek pozbawiony podstawy terytorialnej w postaci własnego kraju, reprezentowałby wspólne dziedzictwo duchowe Polaków mieszkających w Europie Zachodniej. W historii Światowego Zrzeszenia YMCA decyzja ta jest bez precedensu, ale też bez precedensu jest cała historia Polskiej YMCA. Dzięki

niej Polska Imka nad Tamizą, Sekwaną, czy nad Jeziorem Genewskim, jest równie polska co ta, która w 1949 roku była nad Wisłą. Nie jest ona, jak to się niektórym może wydawać, jedynie polską sekcją YMCA Brytyjskiej, Francuskiej czy Szwajcarskiej, ale jest organizacją całkowicie niezależną, współrzedną wszystkim innym Imkom narodowym, sfederowanym w Światowym Zrzeszeniu YMCA.

Najwyższym organem władzy Polskiej Imki w Europie Zachodniej jest Rada Główna. Powołana do życia w 1955 r., jest ideowym odpowiednikiem przedwojennej Rady Krajowej. Jest również jej ideową kontynuatorką. Jakże mocno to continuum podkreślają osoby jej prezesów: ostatni prezes w Polsce — Tadeusz Dyboski — ojciec, pierwszy prezes na emigracji — Adam Dyboski — syn. W skład Rady Głównej wchodzi t.zw. Sekcje Krajowe: szwajcarska — prezes Zygmunt Kallenbach, francuska — prof. J. Nomarski i angielska — prof. Bronisław Hełczyński, który w tej chwili jest również prezesem Rady Głównej. Sekcje krajowe mają swoje ogniska i kluby. Największym ogniskiem jest londyńskie, mieszczące się we własnym budynku przy 46/47, Kensington Gardens Square. Tu jest również siedziba Głównego Biura Polskiej YMCA w Europie Zachodniej, na czele którego stał najpierw dyr. J. Bednarek, a po przeniesieniu Biura z Genewy do Londynu w roku 1958, dyr. Tadeusz Zawadzki. Działalnością Ogniska kieruje Zarząd wybrany przez Walne Zebranie członków rzeczywistych. Prezesami Ogniska Londyn byli: Michał Stopa, Adam Arvay, zaś od roku 1957, Andrzej Kamieniecki. Sekretarzem,



Polska YMCA Londyn.
Zebranie dyskusyjne młodzieży

od stycznia 1950 roku, jest Bolesław T. Lesiecki.

Rada Główna, Rady Krajowe i zarządy ognisk i klubów pochodzą z wyborów. Reprezentują więc czynnik społeczny w strukturze organizacyjnej Imki. Do nich należy formułowanie ogólnych wytycznych zgodnie z życzeniami członków uczestników i potrzebami społeczeństwa, oraz sprawowanie kontroli nad organami wykonawczymi, spoczywającymi w rękach pracowników etatowych t.zw. sekretarzy. Ci pierwsi — to amatorzy z szlachetnymi aspiracjami pracy społecznej. Ci drudzy — to eksperci, obeznani z tajnikami administrowania, z techniką przyoblekania uchwał w konkretne, materialne formy. Tego rodzaju symbioza fachowca z laikiem, w której czynnikiem nadrzędnym jest laik, pozornie przeczy zdrowemu rozsądkowi. W rzeczywistości jest bardzo sensownym sposobem zarządzania instytucją społeczną, ponieważ łączy w sobie romantyczną wizję i idealistyczne tęsknoty amatora-outsider'a ze znajomością rzeczy i praktycznym doświadczeniem fachowca. Taka kombinacja zapewnia instytucji rozmach i „efiency“, demokrację i porządek. Chroni ją od biurokratyzacji. Nie pozwala stracić z oczu głównego jej celu, którym jest nie produkcja kancelaryjnej literatury, ale służba społeczna.

Dzisiejsza Polska Imka dla społeczeństwa polskiego w Londynie, to przede wszystkim dom na Bayswater i pan Lesiecki, jego niezmordowany kierownik od lat już trzynastu. Czym ona jest, ta biedna Polska Imka wygnańcza? Dla jednego jest restauracją, dla drugiego — hotelem, dla trzeciego — Stowarzyszeniem Fotografików Polskich, dla czwartego — Kołem Filmowym, dla piątego — Klubem Tenisa Stołowego, dla szóstego — Kołem Tańców Narodowych z ich tajemniczym „Klubem Czarnego Krążka“, dla siódmego — Klubem Szachowym i Bridżowym, dla ósmego, tego najmłodszego, jest awanturniczą przygodą na dorocznym obozie letnim. Jeszcze dla innych jest czytelnią, biblioteką i klubem dyskusyjnym, polskim kinem i galerią obrazów. A dla wszystkich samotnych i opuszczonych jest namiastką domu rodzinnego, rodzinnego ciepła i światła. Wszyscy oni, członkowie i goście, młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety i dzieci, korzystając w piątki i świątki ze skromnych urządzeń naszej Imki, nie wiedzą, być może, albo zapominają, że Polska Imka jest również jednym z symboli Tej co jeszcze nie zginęła.

Tadeusz Koźlakowski



Tańce góralskie w Royal Albert Hall w Londynie w wykonaniu Zespołu tańców narodowych Polskiej YMCA



Wycieczka Imkarzy na pokładzie bazy komandosów H.M.S. „Albion“



Otwarcie wystawy fotograficznej Poznań—Londyn w sali Polskiej YMCA w Londynie

PRZODOWNIK

Nie wszyscy ludzie rodzą się z darem przewodzenia. Ci, którzy ten dar mają, rzucają się w oczy natychmiast. Są oczywistym źródłem inicjatywy, autorytetu i odpowiedzialności. Ich rola w życiu zbiorowym jest ogromna. Przywódca decyduje o jakości organizacji, o gatunku i skuteczności wszystkich poczynań.

Jakież to przedziwne walory duchowe, predestynują człowieka na lidera? Co powinno — konkretnie — cechować dobrego przodownika? Przede wszystkim czynna postawa wobec życia, pozytywna osobowość, łatwość kontaktu z ludźmi. To są bodajże cechy podstawowe. Ale dobry przodownik posiada jeszcze wiele innych. A więc żywą wyobraźnię i pomysłowość w zaszczepianiu nowych idei i... wyszukiwaniu środków do ich realizowania. Z tym łączy się indywidualizm i zrozumiała niechęć do wszelkiej rutyny. Prawdziwy przodownik nie uważa zgóry ustalonego porządku rzeczy za nietykalny dogmat i dlatego szuka wciąż nowych dróg i nowych rozwiązań. Jest przy tym konstruktywny, ponieważ potrafi wyczuć różnicę między martwą literą przepisu a jego duchem. Jest dalekowzroczny. Wie dobrze do czego zdąża. Jest wrażliwy na opinię publiczną. W razie potrzeby przewodzi, w innym znow momentie uchyla się od kierowania, bo właśnie zauważył, że jest ktoś w zespole, kto robi to lepiej. Gdy konieczność go zmusi do tego, potrafi się sprzeciwić, ryzykując, być może, swoją popularność i prywatny interes. Żyjąc w gromadzie rówieśników, stara się poznać wszystkie problemy grupy. Przodownik wierzy w słuszność swych zamierzeń. Racjonalną argumentacją potrafi przekonać odmiennie myślących i pozyskać ich dla sprawy, której sam służy.

Dobry przodownik jest skromny. Ma postawę pilnego ucznia, szukającego wciąż nowych sposobów na rozwiązanie trudnego zadania. Nigdy nie jest z siebie w pełni zadowolony, chociaż tego nie okazuje. Ciesząc się z dokonanej pracy, pobudza zespół do nowych wysiłków. Nowe problemy dostrzega wcześniej niż inni, ale rozwiązuje je wspólnie, pragnąc by wszyscy mieli poczucie satysfakcji z roboty, która się udała. Zawsze zachowuje postawę życzliwego doradcy i współpracownika raczej niż rozkazodawcy. Jest cierpliwy. Trudności nie zniechęcają go, bo wie że mogą zniechęcić i innych. Zachowuje więc po-

godę mimo niepowodzenia i wesołą perswazją potrafi utrzymać zainteresowanie innych aż do samego końca.

Przodownik musi znać siebie, swoje zalety i wady. Świadomość tego sprawia, że jest wyrozumiały wobec niedociągnięć i braków swych towarzyszy. Szanując siebie, znając dobrze swoją wartość, dzięki której ma szacunek i zaufanie ogółu, nie wywyższa się ponad innych. Pamięta, że jest tylko jednym z wielu, służących wspólnej sprawie.

Tadeusz Zawadzki



Konferencja pracowników w pierwszych latach istnienia Polskiej YMCA. Od lewej do prawej kłęczą: Falkowski, Z. Zieleniewski, S. Rubach. Siedzą: W. Janiszowski, T. Kozłowski, P. Super, dr W. Zawisza. Stoją w pierwszym rzędzie: E. A. Jacob, S. Cackowski, gen. A. Listowski, T. Świerczyński, T. Zawadzki, M. Scott, E. Schober; za nimi: A. Tryпка, F. Eyman, W. Sikorski, E. R. Cummings. W głębi: T. Kurnicki.



PIOSENKA OBOZOWA

*Zebrali się starzy,
By sobie pogwarzyć
Wspomnieniem, co w sercu się tli,
By sobie zanućić,
Melodię powrócić
Przez lata, miesiące i dni.*

*I płynie wspomnienie jak głos z daleka,
Błękitem wylania się z chmur,
Że las był zielony, a w dole — rzeka,
Co srebrem się wila wśród gór.*

*Raniutko, świeżutko, pod modrym niebem
Pachniało kakao ze świeżym chlebem
I inny, radosny, beztroski był świat
W tej małej piosence sprzed lat.*

Jerzy Paczkowski
„Obóz Beskid“, 1931 r.

MÓJ PIERWSZY OBÓZ

MSZANA DOLNA, W POLSCE 1929

Dawne dzieje... Dział Chłopców Polskiej YMCA w Warszawie mieścił się wtedy jeszcze „w Alejach“. Wraz z kolegami z Kolonii Staszycy chodziliśmy tam często po szkole, do naszych kół zainteresowań i na naukę języka angielskiego. Angielskiego uczył Zygmunt Zieleniewski, kierownik Działu Chłopców. Był to porywający człowiek, a w naszych oczach — superman. O wyczynach wojennych Zygmunta Zieleniewskiego

słyszało się różne opowiadania... Dla nas jednak najważniejszym było, że miał Virtuti Militari. Wiedzieliśmy też, że był w kierownictwie obozu letniego „Beskid“, gdzieś w Gorcach, koło Mszany Dolnej. O tym obozie słyszało się wiele od kolegów z klanu obozowego, ale patrzyli oni na nas, niewtajemniczonych jakby przez ramię. Zygmunt Zieleniewski zaś potrafił w czasie swych lekcji, tak trochę od niechcenia, prze-

myć różne historie o obozie YMCA. Robił to tak ciekawie i intrygująco, że to, co słyszeliśmy, już było zachętą do wyjazdu. Toczyły się więc dyskusje najpierw między nami w Dziale Chłopców, aż wreszcie przeniosły się na teren domów i tam ważyły się losy naszych wyjazdów do „Beskidu“. Fakt, że wyjechałem w 1929 r. na pierwszy swój obóz do Polskiej YMCA, zawdzięczam decyzji po długiej rozmowie z Tadeuszem Koszarowskim. Tadek wraz z bratem Władkiem byli już poprzedniego roku w tym obozie, a było to w roku, który miał szczególny wydźwięk wśród obozowców-imkarzy, gdyż szefem sportu był prawdziwy Indianin ze Stanów Zjednoczonych, Waller.



Orkiestra obozowa

Formalności z przyjęciem do obozu było bardzo mało. Płaciło się za pobyt w obozie w biurze Tadeusza Zawadzkiego, w dziale finansowym, przy ulicy Marszałkowskiej. Wizyta tam była równocześnie czymś w rodzaju przejścia przez X-ray. Tadeusz Zawadzki, doświadczony i obyty już wówczas z obozami imkarskimi, dobrze oglądał kandydata. Po opłatach i potwierdzeniu przyjęcia do obozu, czekało się nieskończenie długo na koniec roku szkolnego i wyjazd.

Obóz zaczął się dla mnie już w pociągu, zaraz po opuszczeniu dworca głównego w Warszawie, gdzie na stacji pozostały powiewające chustki rodziny. Podniecony i gwarny nastrój, poznanie nowych kolegów, nieprzespana noc, jazda przez połowę Polski, dołączanie grup obozowców z Łodzi, Częstochowy, Lwowa, postój w Krakowie, aż wreszcie, za Suchą prawdziwe góry, — to była już pierwsza przygoda.

Nie jechałem na tereny mi obce. Dolina Raby,

Gorce i dalsza okolica obozu: Tymbark, Limanowa, Zawoja, Zakopane, znane mi już były z lat poprzednich, z wakacji z rodziną. Piękno przyrody podgórskiej nabrało jednak zupełnie innego wyrazu, gdy stało się częścią naszego życia i przygód obozowych. Pięć kilometrów piechotą, ostatni odcinek z Mszany Dolnej do obozu na stokach Lubogoszczy, szło się grupkami w formie wyścigu. Pierwszy mój marsz tą drogą był godziną tremy i niepokojów — snuły się po głowie rozmaite myśli — czy było warto ryzykować wakacje w obozie? Z kim będzie się mieszkało przez dwa miesiące, kto będzie przodownikiem, a kto dyrektorem? Kto będzie wyduszał ostatnie krople potu na boisku? Wreszcie — pamiętne spotkanie z obozem i olśnienie. Półkolem ustawicne chatki kanadyjskie w zacisznej kotlinie górskiej, krąg ławek wokół ogniska, totem obozowy i dominujący maszt sztandarowy, piękna chatka gościnna i inne budynki wylaniające się zza drzew i zarośli miały jakiś spokój i harmonię. Wszystko to przeszło moje oczekiwania i obraz wytworzony z opowiadań. Niepokój domysłów zastąpiła nienasycona ciekawość poznania tego otoczenia i chęć natychmiastowego zaczęcia jakiejś akcji, ruchu. Przyszło to szybko.

Znalazłem się w „dwójce“ — u Jerzego Paczkowskiego, dżentlemana, poety, satyryka, wspaniałego towarzysza i współuczestnika naszej bujnej codzienności obozowej. Tadek i Wladek Koszarowscy wybrali sobie „czwórkę“ prowadzoną przez Tadeusza Paczkowskiego. „Jedynkę“ prowadzili krakowiacy — taka była tradycja, a przodownikiem jej w 1929 r. był Staszek Baran, przykład sportowca i chodząca zacność i solidność. Z drugiej strony naszej chatki, w „trójce“, rządził wytworny Niko Mesch. O reszcie jakoś mniej pozostało w pamięci, po prostu chłopcy z pierwszych chatek obozowych byli w moim wieku i w zasięgu najbliższego działania. „Ojciec“ — Zygmunt Zieleniewski i „Złoty Ząb“ — Bolcio Waliszewski rządzili nami jako dyrektorzy obozu, Koko-Kobyliński prowadził sport. Chatki obozowych było 15, nas obozowców ponad 120. Przez całe wakacje trwała niezła pogoda, z jedną tylko małą powodzią.

Wydarzenia z następnych siedmiu lat obozowych w „Beskidzie“ zataryły szczegóły wydarzeń z pierwszego roku pobytu. Trudno dzisiaj powiedzieć czy właśnie w 1929 roku poprawione zostały rekordy na 60 m i w skoku w dal, czy

wówczas na wycieczce przeszliśmy czeską i polską Orawę, czy właśnie wtedy potok po kilku dniach deszczów naniósł na boisko tony kamieni i ziemi, niszcząc naszą ciężką pracę, czy był cyrk obozowy gromadzący letników i ludność z okolic? Ostro wryły się natomiast w pamięć pierwsze ogniska, walki o szczyt Lubogoszczy, pierwsze spotkanie rówieśników Czechów z obozu imkarskiego w Orawie, pierwszy samorząd — „rewolucja“ obozowa. Pierwszy obóz był czymś w rodzaju wybicia szerokiego otworu dającego nagle widok na inny świat. Było to spotkanie innych ludzi, problemów, nabycie zupełnie nowych doświadczeń. Szkoła dawała możliwość poznania i obcowania z wielu rówieśnikami, ale w obozie wszystko było nowością. Od nauczycieli, nawet najprzyjaźniejszych, dzielił nas wówczas ogromny dystans, a z przodownikiem, chociaż również starszym od nas, żyło się w nastroju koleżeńskim, wręcz przyjaznym. Sport obozowy był wyzyciem się do ostatka sił i granicy ambicji. Konkurencje międzychatkowe we wszystkich dziedzinach były przez siebie samych nałożoną dyscypliną. Prace obozowe stały się osobistym wkładem w swoją „własność“ — obóz.

Przyznaję, że wracałem z tego pierwszego obozu bardzo chętnie do domu rodzinnego, ale już w dwa tygodnie po powrocie, na pierwszym zebraniu w Dziale Chłopców, zaczynało się robienie

planów na następny rok. Na kolegów, którzy nie wiedzieli co to jest obóz — tym razem ja patrzyłem nieco z góry.

Po wielu latach wędrówki zupełnie różnymi drogami, po życiu w zupełnie innych krajach i okolicznościach, spotkałem znowu Tadeusza Koszarowskiego. Wladek zmarł z ran w Powstaniu Warszawskim. Znaleźliśmy z Tadeuszem natychmiast wspólny język. Sądzę, że zawdzięczamy to temu samemu klimatowi psychicznemu, w którym mieliśmy szczęście wyrastać.

Bolesław T. Lesiecki



Poświęcenie obozu letniego Polskiej YMCA „Beskid“

MÓJ PIERWSZY OBÓZ

LAUSSA, W AUSTRII 1963

Na obóz wypchnęła mnie moja siostra, Ewa, która należy do Koła Tańców Narodowych i jest silniejsza ode mnie. „Jedź — powiedziała — bo dostaniesz! Zrobią tam z ciebie mężczyznę!“ Powiedziała to wszystko po angielsku, bo chociaż w naszym domu językiem oficjalnym jest polski, to jednak w momentach bardziej emocjonalnych przechodzimy automatycznie na angielski, jako że łatwiejszy i daje większe możliwości. Zresztą „man“ brzmi znacznie lepiej niż „mężczyzna“, słowo długie, śmieszne i nielogiczne, bo o żeńskiej końcówce.

Więc pojechałem na ten obóz. Wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy. Odprowadzili mnie na Victorię całą rodziną. W ostatniej chwili Ewa kupiła mi dwa Pinguiny: „Bird watching for

beginners“ i „Mentality of Apes“. Wiem dlaczego była taka dobra. Bała się, że zacznę ją przy wszystkich nazywać Lalusią. Od kiedy dorosta i studiuje — bardzo tego nie lubi.

Nigdy nie zapomnę pierwszego wrażenia, jakie sprawił na mnie Camp Sibley. Pogoda była wspaniała, ale obóz położony wysoko w górach, 6 mil od najbliższego miasteczka, w którym wylądowaliśmy się z pociągu, zionął przeraźliwą pustką. Otoczony z trzech stron wysokim, drucianym płotem, z lampami elektrycznymi na słupach, sprawiał wrażenie Stalagu. Tak żeśmy go od razu i nazwali. Małe boisko i miniaturowy basen, pełen rozbawionych jaszczurek i innych wodnych „gnatów“, głód i zmęczenie po 24-godzinnej podróży, potęgowało uczucie rozczarowania.

wania. Ale po dobrym obiedzie i po rozlokowaniu się w naszych jasnych, wygodnych „huts“, humory poprawiły się kolosalnie. Ja i ośmiu innych dostało się do chatki nr 2. Do Andrzeja Żurka. Nazwaliśmy go z miejsca „Doc“, bo ktoś powiedział, że studiuje medycynę w Edynburgu. To się samo rzuciło w oczy. Miał rude włosy i rudą tweedową marynarkę. Z plecaka wyjął buty do wspinaczki i potężną księgę, zatytułowaną „Obstetrics“. Buty wsunął pod łóżko, a księgę zamknął w swej szafce. Nigdy nie udało nam się do niej zaglądnąć. Doc grał na gitarze „spirituals“ i obierał z nami kartofle, gdy mieliśmy dyżur w kuchni. W ogóle był bardzo fair. Nigdy nikomu nie rozkazywał, tylko grzecznie prosił i sam dawał przykład. Bardzośmy go wszyscy lubili i szanowali.

Zaledwie zdążyliśmy się jako tako zagospodarować — gdy „Juri Gagarin“ wszedł i powiedział, że gramy mecz. (Naprawdę to on się nazywa Andrzej Kępiński, ale nikt o tym nie wie). Ponieważ Juri miał całą naręcz niebieskich koszułek z dużym, białym Y na piersiach, więc wszyscy naturalnie chcieli się dostać do team'u. Ja miałem szczęście. Do końca obozu grałem w reprezentacji na obronie.

Zdumiała mnie szybkość, z jaką te wszystkie sporty zostały zorganizowane. (Był ich olbrzymi wybór: piłka nożna, siatkówka, łucznictwo, pływanie, tenis stołowy, krążek, badminton, lekka-athletyka) i z jakim zapałem większość chłopców wzięła w nich udział. Myślę, że każdy pogodził się z losem. Byliśmy na odludziu. Musieliśmy sami zorganizować sobie życie, wypełnić czas jakąś rozrywką, bo inaczej nudziłibyśmy się okrutnie.

Bardzo mnie to wtedy zdumiało i zdumiewa do dzisiaj, jak szybko zostało zorganizowane życie obozowe i wprowadzona dyscyplina, oparta na ciągłym odwoływaniu się do naszego poczucia odpowiedzialności, o którego istnieniu woleliśmy nie pamiętać. Jak szybko zżyliśmy się między sobą i z przodownikami i z dyrekcją. Jak w atmosferze solidarności i koleżeństwa jeden drugiemu pomagał bez żadnej niezdrowej rywalizacji, czy chęci wybicia się, na skutek czego nie było wcale zawiści i kwasów. Nikt nikomu nie miał za złe, że wygrał nagrodę w sporcie, lub że miał więcej pieniędzy w banku obozowym u pana Lesieckiego. Na zakończenie obozu, na ostatnim uroczystym ognisku, prawie



Piłkarska reprezentacja obozu Polskiej YMCA na „Olimpiadzie w Laussa“ — Górna Austria

każdy otrzymał jakiś dyplom i wrócił do domu z wrażeniem, słusznym czy nie, że nie jest niedołągą i ciamajdą.

Mój osobisty zakres wiedzy praktycznej poszerzył się bardzo. Nie tylko nauczyłem się strzelać z łuku, ale dowiedziałem się również, że najlepszym polskim łucznikiem był pan Muszałski, a obecnym mistrzem świata jest Indianin Joe Thornton. Nauczyłem się trójskoku, który wcale nie jest trójskokiem, tylko hopsem, susem i skokiem (to mi ogromnie pomaga w jeżdżeniu autobusami). I co najważniejsze, nauczyłem się ratować i ożywiać topielców. Kurs ratownictwa, przeprowadzony przez Poole'a, Zuba i Doc'a, kolosalnie dodał mi pewności siebie i czekam na okazję zastosowania mojej wiedzy w praktyce. Ale nie mam szczęścia. Nikt jakoś nie chce się topić.

Po moim powrocie do domu, rodzice zauważyli z wielką radością i dumą, że nareszcie mówimy tym samym językiem. Kontakt z chłopcami i starszą obozową, mówiącą wyłącznie po polsku, kolosalnie poprawił moją polszczyznę, a biblioteka dała mi sposobność podreperowania mojej dość nikłej wiedzy o polskiej literaturze. Zawidowski znikł w niej od razu po przyjeździe i pojawił się dopiero w trzy tomy (Trylogii) póź-

niej, pod sam koniec obozu. Tak szczęśliwie wyjaśniła się zagadka „człowieka, którego nie było“... nigdy na boiskach.

Z przyjemnością muszę podkreślić, że w naszej ożywionej działalności sportowej, nie zapomniano o intelektualistach. Wielki „Quiz Obozowy“ dał szerokie pole do popisu wszystkim megacefałom (po polsku: big heads) i nauczył nas wielu nagłych i niespodziewanych rzeczy, jak np. że Wawel leży w Niemczech — co było przyjęte ogólnym i bolesnym jękiem. W finałowym spotkaniu udało mi się szczęśliwie zgadnąć, że Priestley NIE NAPISAŁ, lecz WYNALAZŁ (gaz śmiechu) i to prawdopodobnie zdecydowało, że wygrałem Quiz różnicą jednego punktu przed Jabłczyńskim i Jackiem.

Nasz polski obóz, 45 ludzi z Anglii, Francji i Austrii, plus 1 Tybetańczyk Tesur, był tylko częścią całości obozu Sibley. Oprócz nas byli tam Austriacy, Niemcy, Holendrzy i inni. Szybko zawiązały się przyjaźnie z chłopcami z innych krajów, a zwłaszcza z grupą austriacką. Bariery językową przebiliśmy bez specjalnego trudu. Nauczyliśmy się najpotrzebniejszych wyrażen, takich jak: Ich liebe dich, Ein Bier, bitte — bardzo szybko. Austriacy natomiast przejęli od nas „Shut up!“ z takim entuzjazmem, że nie mogli się bez tego obejść nawet w rozmowach między sobą.

Oczywiście była też strona negatywna obozowego medalu. Wczesne wstawanie, a zwłaszcza

codzienne ablucje, nie odpowiadały nam zupełnie. Także gimnastyka poranna prowadzona o godz. 7-mej przez sympatycznego fanatyka, dostarczyła niejednemu z naszych „tough gajów“ przeżyć, jak najbardziej wstrząsających duchem i ciałem. Codzienna inspekcja porządków także wybijała nas cokolwiek z normalnego trybu życia. Na szczęście kończyła się o wpół do dziesiątej i można było być sobą — do następnej inspekcji.

Mnóstwo miłych wspomnień zostało mi po tym moim pierwszym obozie. Wspinaczki po okolicznych górach. Całodzienne wycieczki autobusami do Almsee, Wiednia i Salzburga, które dały nam okazję zobaczenia Austrii i... zakłócenia spokoju ludności miejscowej. Nadzwyczajna zabawa strażacka w wiosce, gdzie grali tylko polki ze Steyeru i wiedeńskie walczyki ku mojej i Włodka Lesieckiego straszliwej konfuzji (on miał tam fantastyczną przygodę! — ale cóż, dałem słowo: not a word!). Ogniska pod rozlupaną skałą. „Olimpiada“, którą wygraliśmy. Dzień Rewolucji. Przodownik „trójki“ Napoleon, czyli t.zw. Nap i wiele, wiele innych wydarzeń i postaci. Widzę je wszystkie na tle spokojnych, słonecznych gór, otaczających obóz. Wciąż czuję zapach świeżo skoszonej trawy, tuż za oknem mojej chatki, która była mi domem przez trzy krótkie tygodnie.

Z przyjemnością czekam następnego lata i następnego obozu.

Wojciech Giller



Obóz letni Polskiej YMCA w Botley k. Southampton. Kurs kajakowy

Kartka z pamiętnika — Hilversum

ŚRODA, 3 SIERPNI 1960

Wyskakujemy z wagonu na peron. Pierwszy raz w życiu stoję na ziemi holenderskiej. Mam dziwne uczucie zapadania się w senne widziadło. Z kolegami Zbyszkim i Krzyskiem prujemy na platformę, na której czeka drugi pociąg. Jest to nasza ostatnia przesiadka. Wokół widzimy mrowie facetów z plecakami i walizkami. Na nich rozpoznajemy naklejki dobrze znanego nam czerwonego trójkątka Y.M.C.A. Są to, tak jak i my, delegaci na Światowy Zjazd Młodzieży w Hilversum.

W wagonie uśmiechamy się nieśmiało do wesołej grupy Belgów wystrojonych w zielone mundurki. Wokoło — rozentuzjasmowane głosy francuskie, holenderskie, hiszpańskie, no i nasze — polskie. Znika zmęczenie, na które narzekaliśmy pół godziny temu. Zapominamy o całodziennym włóczędździe po upalnej Brukseli, o obozie Polskiej Imki w Ardenach, skąd właśnie jedziemy. Zapominamy o całym Bożym świecie! Jedynym tematem rozmowy jest oczekująca nas dziesięciodniowa konferencja.

Doroczne obozy naszego Londyńskiego Ogniska umożliwiły mi poznanie najbliższych sąsiadów tj. Anglików, Francuzów i Belgów, lecz tu będziemy mieli przegląd młodzieży z całego świata. Uzbrojeni jesteście jedynie w dwa obce języki: każdy z nas włada angielskim i udaje że zna francuski. Pozostałych dwóch oficjalnych języków konferencji, niemieckiego i hiszpańskiego — ani w ząb. (Później okazało się, że dzięki wspierającej organizacji, braki te nie dały nam się wcale we znaki, tym bardziej, że na 800 uczestników było ponad 200 Amerykanów i... Amerykanek).

Zajeżdżamy na stację Hilversum i z miejsca chwytają nas tryby sprawnie działającej maszyny konferencyjnej. Przy zejściu z peronu spotyka nas młody Holender i płynną angielszczyzną tłumaczy, że przed stacją czeka prywatny autobus, którym dojedziemy do samej kancelarii obozowej. Za chwilę powtarza tę samą wskazówkę w języku francuskim, holenderskim, hiszpańskim i niemieckim, nie zająkawszy się ani razu. W luksusowym autobusie czeka nas drugi „poliglota“ i z figlarnym uśmiechem ofiarowuje każdemu „najwygodniejsze“ miejsce. Jeszcze parę mi-

nut czekania na schodzących się ze wszystkich stron pasażerów i wyruszamy w ostatni etap.

Wjeżdżamy do obozu przez główną bramę, jedziemy wzdłuż prostej alei i stop: zagradza nam drogę tłum. Wsiadamy. Przed nami półkilometrowa kolejka do kancelarii, gdzie każdy uczestnik musi być zarejestrowany i przydzielony do baraku. Dołączamy więc jak na zdyscyplinowaną młodzież z Anglii przystało i rozglądamy się z ciekawością. Murowane baraki rozsiane w sosnowym lasku. Kręte betonowe ścieżki o szumnych nazwach kontynentów: „Europe Ave.“, „Oceania Ave.“, „America Ave.“ itd. Wszystkie ma tu charakter wybitnie międzynarodowy.

Główny plac, na którym odbędzie się defilada sztandarów i po raz pierwszy w Europie ukaże się flaga Konga (w codziennym użytku jest to kompleks boisk koszykówki) nosi nazwę „The World Square“ — „Plac Światowy“. Przy tym placu znajduje się „International Hall“, miejsce codziennych oficjalnych zebrań i wspaniała kantyna. Wszystkie „prawdziwe“ kontakty i dyskusje tworzyć się będą i kwitnąć w kantynie.

W kolejce przed nami stoją dwie ładne Amerykanki, więc oczywiście z miejsca zaczyna się konwersacja. Przedstawiamy się jako „Chris“, „Jim“ i „Ted“, dodając, że jesteście Polakami. W odpowiedzi dowiadujemy się, że Susue jest z Kannapolis, a Nancy z Melrose, Massachusetts. Pytają czy mieliśmy trudności z przejazdem przez żelazną kurtynę, na co odpowiadamy, że jesteśmy z Londynu. Zawiedziona Nancy stwierdza: „Oh, so you are English“. Tłumaczymy, że wcale nie English tylko Polish z krwi i kości, jedynie mieszkamy w Londynie. Nie, nie przyjeżdżamy z brytyjską delegacją, reprezentujemy naszą, własną Polską YMCA, której centrala jest w Londynie. Zrozumiwały. Zjeżdżamy na inne tematy. Porównujemy programy szkolnictwa angielskiego z amerykańskim, gdzie młodzież zaczyna studia o 8-mej rano, kończy o 2-giej po południu, a resztę dnia spędza na boiskach. (Toteż nic dziwnego, że co który Amerykanin, to chłop jak dąb). Omawiamy też możliwości i cel konferencji oraz wpływ, jaki może ona wywrzeć na działalność YMCA w poszczególnych krajach.

Rozmowa, do której dołącza się jeszcze kilka osób, trwa ponad godzinę, zanim złotym krokiem dowlekamy się do drzwi i, wreszcie, do samego stołu, przy którym siedzą jakieś oficjalne postacie. Podchodzę z dokumentami w ręku.

„Nationalité?“ — pyta mnie pierwszy urzędnik. „Polonaise“ — odpowiadam.

„Polonaise — Polo-naise, Polonaise“ — Ach! Znalazł!

„Nom?“

„Herchenreder“.

„Pardon?“

„Her-chen-re-der“ — powtarzam najczystszą francuzczyznę.

W międzyczasie inkwizytor wyczytał, że Polonais jest z Angleterre, więc atakuje ponownie:

„You speak English, yes?“

„I do indeed“. Lecz moja kartka poszła już do następnego, który po przepisaniu numeru wręczył mi ją, oświadczając: „Your identification card“ — przy każdym wyjściu i powrocie, proszę tę kartkę przedstawić służbowemu marynarzowi przy bramie“. Następnie otrzymuję plastikową teczkę, w której są komunikaty, wskazówki, formularze i mapa obozu. Mam się z tym wszystkim zaraz zapoznać. Przy drzwiach zatrzymuje mnie znów jakiś młody poliglota, prosząc bym łaskaw był podpisać się na ogromnej liście, która wręczona będzie w ostatnim dniu Konferencji dowódcy Szkoły Morskiej, w dowód wdzięczności za pozwolenie korzystania z terenu koszar.

Lekko oszołomiony wychodzę z budynku. Co teraz? na różowej karcie jest moje nazwisko i adres „Barrack 9, Yellow, Room G. DG-B 15 BS-1 A“. Niewiele mi to mówi. Zaczynam studiować mapę obozu: barak 9 jest przy „Africa Ave.“, ale żeby tam trafić trzeba wiedzieć skąd zacząć, a ja nawet nie wiem, gdzie jestem. Zbyszek jest także w 9-ce i też „Yellow“ (tj. żółty, czyli tchórz — a nie opalony i odważny!) Krzysiek natomiast przydzielony jest do „Black“ (do Czarnej Jedenastki czy coś w tym rodzaju).

Nie namyślając się długo, zaczepiam marynarza: w prawo, w lewo, w prawo i znów w prawo i stoimy przed szerokim wejściem do „dziewiątki“. Taka tu masa drzew i krzaków, że czujemy się jak w dżungli. Z łatwością można tu minąć budynek, nie zauważywszy go pośród gąszczu.

Wchodzimy. W pokoju na prawo, urzęduje opiekun baraku, bardzo sympatyczny, wesoły

Amerikanin nazwiskiem James Tompkins, zwany powszechnie: „Jim“. Po sprawdzeniu naszych legitymacji, wysłał nas na piętro do sali „G“ (nas — to jest Zbyszek i mnie — Krzysiek poszedł szukać własnego szczęścia).

Parter podzielony jest na 10-cioosobowe pokoiki. Piętro zaś jest jedną dużą salą, w której mieści się 100 osób (25 piętrowych łóżek, głowami do ściany, po obu stronach). Przy każdym łóżku jest t.zw. locker na drobiazgi i ubranie.

Wybieram pierwsze lepsze wolne łóżko, zrzucając plecak i zabieram się do zawierania nowych znajomości. Z prawej strony śpi Zbyszek — nic ciekawego. Za nim wysoki, atletyczny Amerykanin, Ted Simpson. Chichocząc apetycznie mówi, że już wydają kolację. Jeżeli chcemy jeść, to musimy się śpieszyć. Nad nim śpi roześmiany Murzyn z Texas'u. Nade mną Niemiec, z którym niestety mogę porozumieć się tylko na migi. (Nie będzie to nam jednak przeszkadzać w graniu w tej samej drużynie — „zółtej“ — koszykówki i siatkówki). Po lewej mieszka dwóch innych Niemców z gitarami. Bez przerwy wyśpiewują sentymtalne piosenki niemieckie, angielskie i francuskie. Z tymi można dogadać się po angielsku.

Poznawszy z grubsza naszą chałupę, idziemy do jadalni. Kolejka, naturalnie, bez końca, ale dołączamy. W tej właśnie kolejce, w której stać będziemy trzy razy dziennie, spodziewam się nawiązać masę niezwykłych znajomości.

Konferencja odbyła się w atmosferze entuzjazmu i ogólnego podniecenia. Rzeczywiście zawarliśmy mnóstwo znajomości, które zrodziły ożywioną wymianę listów i, w wielu wypadkach, stałą przyjaźń, odnawianą przy każdej sposobności: w Grecji — na Europejskim Zlocie Młodzieży, w Austrii — na obozie letnim, czy też drogą wzajemnych, prywatnych odwiedzin. Zdarzyło mi się nawet otrzymać audycję muzyczną na taśmie, specjalnie dla nas nagraną przez zespół Imkarski z Antwerpii. Utrzymujemy kontakty z różnymi polskimi światami. Najlepszy to dowód, że nasza Polska YMCA żyje i działa.

Tadeusz Herchenreder

15 LAT MOJEJ WSPÓŁPRACY Z IMKĄ

Istnieje teoria, że nie ma niezastąpionych ludzi i niezastąpionych instytucji. Jest to prawda względna. Należy ją rozumieć tak: jeżeli zabraknie jakiejś energii jednostkowej lub jakiejś uporządkowanej grupy ludzkiej — to napewno zjawia się jakieś *inne energie* jednostkowe i inne grupy uporządkowane. Bogactwo życia jest bowiem nieskończone. Ale z tego nie wynika, że to co zostało zrobione przez daną jednostkę lub zespół ludzki może być zawsze powtórzone *jakościowo*. Nie! Są dokonania jakościowo niepowtarzalne. Jestem, na przykład, przekonany, że gdyby nie Polska YMCA, ośrodek plastyki polskiej, jaki się wytworzył w Londynie w ciągu ostatnich lat piętnastu, albo by nie istniał, albo miałby charakter zupełnie inny. Myślę, że równie liczni plastycy polscy wiązaliby swoje wypowiedzi twórcze głównie z angielskimi ośrodkami nauczania, a ich pogląd na sztukę byłby bardziej uzależniony od prądów i gustów brytyjskich. Ale przede wszystkim sądzę, że nie wytworzyło by się środowisko odbiorczo-samodzielne i mające charakter odrębny, charakter polski, jakie niewątpliwie dało się urobić w oparciu o systematyczną pracę na polu pogłębiania kultury plastycznej; w ramach działalności Polskiej YMCA w Londynie.

Pomysł oprowadzania wycieczek po muzeach, galeriach i zabytkach Londynu i jego okolic powstał w mojej głowie zaraz po przyjeździe do Anglii, ale realizację początkową tego pomysłu zawdzięczać należy p. Ewie Telichowskiej, która w roku 1948 kierowała Klubem Polskiej YMCA w Londynie. Praca ta była później kontynuowana aż po dzień dzisiejszy, w harmonijnym współdziałaniu ze mną następcy p. Telichowskiej, p. Bolesława Lesieckiego. Liczba tych artystycznych wycieczek przekroczyła dziś siódmą setkę i trudno by znaleźć takie miejsce w Londynie w promieniu kilkunastu mil od metropolii, które posiada jakąś osobliwość należącą do sztuk plastycznych, a którego by nie poznali i nie analizowali uczestnicy naszych niedzielnych popołudniowych wypadów.

Liczba uczestników w czasie jednej wycieczki waha się między kilku a kilkudziesięciu osobami; myślę, że liczba średnia 15-tu osób jest najbliższa dla charakterystyki frekwencji tych

zebrań. Wytworzyły się też zastępy stałych entuzjastów, którzy byli przez długie lata niezmiernymi pionierami rozszerzania kultury plastycznej wśród rzeszy naszej emigracji londyńskiej; że wymienię tu w pierwszym rzędzie ś.p. pułkownika Romana Witorzeńca, tak bardzo przez wszystkich nas kochanego, który w latach 1948—1960 nie opuścił chyba żadnego oprowadzania i zdobył tym systematycznym wysiłkiem prawdziwie głęboką kulturę plastyczną. Ale mógłbym wymienić kilkadziesiąt osób, które wyrobiły w czasie naszych wycieczek poważny i konsekwentny pogląd na zagadnienia sztuk plastycznych. Stałe nasze pogadanki niedzielne w muzeach i galeriach londyńskich, stały się po latach popularne i wśród nadzorców tych instytucji. Dawniej dość często spotykaliśmy się z protestami zbyt gorliwych stróżów porządku w stosunku do naszej grupy, która niewątpliwie nie wyróżniała się ciszą i angielskim opanowaniem gestykulacji, szczególnie jeżeli mowa o wykładowcy. Z czasem angielskie umiłowanie kompromisu i tradycji zwyciężyło, a nawet zdobyliśmy coś na kształt życzliwej popularności. I w National, albo w Tate Gallery często się zdarza, że przypadkowo opóźnieni nasi słuchacze, są gorliwie informowani przez nadzorców lub urzędników galerii, że „the Polish Professor“ wyklada teraz w tej a tej sali olbrzymiego labiryntu.

Niedzielne wykłady i pogadanki w galeriach londyńskich, które prowadzę od 15 lat w ramach prac Ogniska Polskiej YMCA, są tylko częścią ogólnej mojej działalności odczytowej na tym terenie. Poza wieloma dorywczymi lub aktualnymi odczytami dotyczącymi sztuki, miałem tu cykle wykładów, jak np. „Malarstwo Polskie“ w roku 1957 lub „Wstęp do Teorii Sztuki“ w roku 1959. Każdy z tych cykli obejmował po kilkanaście wykładów, po jednym miesięcznie. Frekwencja wahała się w granicach 23-45 osób. Z reguły po każdym wykładzie jest dyskusja i wydaje mi się, że przygotowanie audytorium wybitnie wzrosło w porównaniu z pierwszymi latami naszej działalności w zakresie popularyzacji sztuki i zwiększenia o niej wiedzy.

Nie mniejszą zasługą Polskiej YMCA jest krzewienie sztuki polskiej na emigracji przez akcję wystawową. Gdy w roku 1949 zespół mło-

dych, awangardowych malarzy polskich zorganizował „grupę 49“ — prawie wszystkie jej wystawy, począwszy od pierwszej w roku powstania, odbywały się w Polskiej YMCA. Tadeusz Beutlich, Andrzej Bobrowski, Ryszard Demel, Antoni Dobrowolski, Marian Kościałkowski, Tadeusz Muszyński, Henryk Paar, Leon Piesowocki, Aleksander Werner, Janusz Eichler i niżej podpisany, organizatorzy grupy, wzięli udział w tej wystawie, która była bodaj pierwszą manifestacją zrzeszonych nowych sił polskiej plastyki na emigracji. W Klubie Polskiej YMCA, jeszcze w lokalu przy 6, Cadogan Gardens, mieli też pierwsze swoje wystawy indywidualne tacy artyści, jak: Irena Marlewska, Janina Idzikowska-Laskowska, Stefan Knapp (który wystawą swoich rzeźb abstrakcyjnych, opartych na trzonie naturalnych pni drzewnych, wystartował do wielkiej kariery), Lela Pawlikowska, wreszcie i ja miałem tam wystawę indywidualną w roku 1953. Ten spis nie wyczerpał wszystkich pozycji indywidualnych. W tym samym lokalu Klubu odbywała się też w roku 1955 wystawa 5-ciu polskich artystów-laureatów jedynej nagrody plastycznej na emigracji, ufundowanej przez Polskie Oddziały Wartownicze w Niemczech. Byli nimi: Tadeusz Ilnicki, Marian Kościałkowski, Andrzej Bobrowski, Zygmunt Turkiewicz i Aleksander Werner. Gdy w roku 1957 zorganizowało się Zrzeszenie Polskich Artystów Plastyków w Londynie, pierwsza wystawa tej nowej organizacji, a i liczne konferencje związane z jej powstaniem, toczące się w atmosferze godnej temperamentów dosiadaczy Pegaza — miała miejsce w nowym lokalu Polskiej YMCA przy 46/47, Kensington Gardens Square. Lokal ten, posiadający bodaj najpiękniejszą salę wystawową wśród polskich organizacji w Londynie, udzielał też gościny dla wystaw szeregu artystów polskich z kraju, malarzy, grafików, fotografów. Odbywały się tu i wystawy, bardzo ciekawe, plakatów krajowych.

O wszystkich tych imprezach mówię w ramach tematu „Mojej współpracy z Polską YMCA“, ponieważ wszystkie one łączyły się pośrednio lub bezpośrednio z moją działalnością wykładową. Miałem też w tym lokalu dwie swoje własne wystawy indywidualne: portretów w roku 1959 i gwaszy w tymże roku.

Ale najważniejszą pozycją w pomocy, jaką Ognisko Polskiej YMCA udziela plastyce naszej na emigracji, jest niewątpliwie postawa przezeń

udzielana dla Studium Malarstwa Sztalugowego Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie. Gdy jeszcze lokal tej szkoły mieścił się w Klubie Orła Białego przy Knightsbridge, pierwsze jej doroczne wystawy odbyły się w Imce przy Cadogan Gardens. Od roku 1957 Studium ma swoją siedzibę w lokalu Polskiej YMCA przy Kensington Gardens Sq., gdzie odbędzie się w tym roku dwunasta wystawa doroczna prac studentów Studium, a gdy piszę te słowa ma tu miejsce wystawa tegorocznych absolwentów. Wydarzenie to może być uważane za jedną z charakterystyk naszej współpracy z Imką, bo przecie każdego roku te dwie wystawy mają miejsce: październikowa wystawa dyplomantów i grudniowa — prac studenckich.



Ognisko Polskiej YMCA w Londynie.
Otwarcie jednej z licznych wystaw sztuki

Ale działalność Szkoły obejmuje nie tylko sobotnie i niedzielne prace malarskie w sali Ogniska YMCA. Seminarium z teorii sztuki jest prowadzone tutaj, dwa razy miesięcznie, w ramach programu prac Studium oraz dyskusje z tym związane, składają się na dopełnienie systematycznej działalności w zakresie polskiej plastyki, wiążącej się organicznie i z atmosferą i z czynną pomocą, której udziela nam Organizacja, będąca jednym z najlepszych przykładów konkretności i bezinteresowności w uporządkowanej działalności społecznej.

Marian Bohusz-Szysko

TAŃCE — HULANKA — SWAWOLA

Nie łatwo jest pisać o zespole tanecznym, w którym się jest jednocześnie tancerką i kierowniczką. Tancerka chciałaby o wszystkim pisać w superlatywach, nie szczędzić pochwał, zresztą zasłużonych. Kierownicze zespołu konwencjonalna skromność nie pozwala na „przecenianie się“ i... hamuje rozmach pióra.

A pisać jest o czym.

Zespół Tańców Narodowych Polskiej Imki, który rok temu przyjął nazwę „Mazury“, istnieje bez przerwy już 15 lat (a więc dwa lata dłużej niż „Mazowsze“). I to już samo w sobie jest wielkim osiągnięciem. Podobnie jak inne zespoły amatorskie, Zespół nasz miał swoje upadki i wzloty, ale obecnie jest w stanie prawdziwego rozkwitu. Rozentuzjasmowani tancerze nie szczędzą wysiłków w energicznej dążności do coraz wyższego poziomu.

Doskonałym dowodem tego był „Wieczór Pieśni i Tańca“, zorganizowany w lutym roku bieżącego w ratuszu Ealing. Z zawodową sprawnością zaprezentowaliśmy zdumionej publiczności 36 pieśni i tańców z różnych dzielnic Polski. Finałowy numer, śpiewano-taneczny obrazek z wesela wiejskiego „Oczepiny“, naprawdę poderwał widownię.

Poważnym problemem amatorskiego zespołu tanecznego są kostiumy. Oczarowani przepychem barw „Mazowsza“ czy „Śląska“, widzowie nasi oczekują i od nas bardziej efektownych i autentycznych strojów. Konieczność stałego uzupełniania garderoby własnym wysiłkiem i jak najmniejszym kosztem, pobudza cały Zespół do „pracy chałupniczej“. Tak więc własnym, mozolnym przemysłem zrobiliśmy piękny komplet strojów łowickich, z materiału który utkał Staszek Sawicki własnoręcznie na starożytnych krosnach. Sprawiliśmy sobie stroje góralskie, huculskie, śląskie i krakowskie. Ostatnim, przedziwnym nabytkiem jest „autentyczny“ Lajkonik, wykonany nakładem czteromiesięcznej pracy przez Ziótkę Kazimierczaka. Wywołał on prawdziwą furorę na ostatnich Dożynkach londyńskich.

W Londynie istnieją jeszcze cztery inne zespoły polskich tańców narodowych, lecz Zespół nasz ma statut zupełnie wyjątkowy. Złośliwi i

zazdrośnicy nazywają nas „kliką“, do której wstęp jest otwarty jedynie dla osób specjalnie uprzywilejowanych. Jak to bywa z każdą fantazją, jest w tym trochę prawdy, ale bardzo niewiele. Członkowie Zespołu tworzą jedną dużą rodzinę, spotykają się poza wieczorami ćwiczeń, przyjaźnią się i pomagają sobie wzajemnie, gdy zajdzie potrzeba pomocy. Każdy nowy kandydat na członka jest zawsze jak najmiej widziany. Staramy się nim z miejsca zaopiekować i jak najszybciej wciągnąć do „kliky“.



Dożynki w Londynie z udziałem Zespołu tańców i pieśni Polskiej YMCA „Mazury“

W tych asymilacyjnych procesach pomocne jest ogromnie nasze hałaśliwe życie towarzyskie. Spotkania nasze w każdą sobotę o 7-mej wieczorem nie ograniczają się do samych ćwiczeń tanecznych. Ćwiczymy — i to solidnie — do 9-tej godziny, starając się nadrobić niedostatek czasu wysiłkiem i zapałem. O 9-tej schodzimy całą czeredę do kawiarni, gdzie przy herbacie i ciastkach plotkujemy, śpiewamy i swawolimy (na nasze szczęście personel kawiarni Imki jest wyjątkowo cierpliwy i wyrozumiały).

Gwoździem herbatki jest losowanie Klubu Czarnego Krążka p.t. „Dyskopool“. Czarny krążek, czyli płyta gramofonowa, co tydzień inna, zakupywana jest ze składek członków i poddawana losowaniu. Szczęśliwiec, który wygrywa płytę, dostaje ją dopiero za tydzień, kiedy już została nagrana na taśmę magnetofonową przez Komitet Rozrywkowy. Taśmy, których mamy już

parę kilometrów, służą do zapewnienia dalszego ciągu naszym sobotnim schadzkom.

W dużej, wesołej i zawsze obwieszanej jakimś ciekawymi bohomasami sali, rozbulane towarzystwo twistuje z furią ostatnie przeboje Acker Bilk'a na przemian z oberkami Wesołowskiego. Od czasu do czasu, przy jakiejś ważniejszej okazji jak: egzamin, Sylwester lub zaręczyny (zaręczyny i śluby nawiedzają nasze grono z monotonną regularnością) urządzamy t.zw. kabarety. Są to potańcówki z krótkim pro-

gramem wokalnokomicznym w wykonaniu co genialniejszych członków Zespołu. Cieszą się one wśród wszystkich straszliwą popularnością i mimo, że mało Imki nie rozwałą, jakoś nie wywołują sprzeciwów kierownika Ogniska.

Mając tyle swobody i zrozumienia dla naszej „way of life“ ze strony kierownictwa Polskiej Imki, Zespół nasz stale się rozwija, powiększa i szerzy bogate tradycje polskich tańców narodowych wśród swoich i obcych.

Irena Różycka

LAURKA DLA CIOCI IMCI

Sam nie wiem od czego tu zaczynać.

Zanim odkryłem, że kieszenie w spodniach służą do noszenia rąk, a nie scyzoryka i kasztanów (co było mniej więcej w okresie Twoich narodzin), wypisywałem na laurkach różne wdzięczne wierszyki — takie wtedy ważne i ach, takie trudne do wykaligrafowania na arkuszu bristolu:

*„Ja mały chłopiec nie umiem wieszować,
Mogę tylko Ciocię mocno ucałować.“*

Wydaje mi się, że to już nie przystoi — ani w Twoim, ani w moim wieku. Więc ograniczę się jedynie do powściągliwych „Najserdeczniejszych życzeń“.

Obchodzenie urodzin jest, przynasz, dużym nietaktem: przypominają one, że już TYLE lat minęło, że czas w ogóle leci — i to nie tylko temu, kto swoją rocznicę świętuje, ale i tym wszystkim, którzy bez własnej winy też się o rok postarzel.

Czterdzieści lat to dużo lat, Kochana Ciocienka. Jesteś na pewno jedyną przedstawicielką niewieściego rodzaju, którą taka dostojna rocznica nie tylko nie przeraża, ale — przeciwnie, napawa dumą. Bo wiemy wszyscy, jak wiele przez ten czas dla nas potrafiła zrobić, a wiek Twój jest tylko dowodem powodzenia Twych wysiłków. No, a dla nas, którzy woleliby czas zatrzymać, a nawet zawrócić, urodziny Twoje budzą dawne wspomnienia, zabawne czasem, a czasem bardzo smutne.

Zanim jeszcze ubrałaś się w szaty nasze narodowe — imię Twoje było dla mnie symbolem pomocy i opieki nad wszystkimi, którzy cierpieli w złym czasie wojny. Tyś nas karmiła, ubierała i uczyła. Na Ciebie można było liczyć.

Potem nastąpił okres ekonomicznie pomyślniejszy. Ciocia Imcia i Wujek z Ameryki byli już mniej potrzebni — zaczęto ich nawet krytykować. Ktoś mi powiedział, że Twoje Ogniska nie były niczym innym jak tylko ośrodkiem propagandy Metodystów, a to przecież tacy niedobrzy ludzie! Urządzają herbatki, a potem (sic!) każą śpiewać heretyckie pieśni.

Okres szkolny zbiegł się z zakazem należenia do pozaszkolnych organizacji i klubów sportowych. Paru odważniejszych kolegów wstąpiło w Twoje szeregi, ale w wielkiej tajemnicy. Pamiętam z jaką zazdrością słuchaliśmy ich opowiadań o sloganach, których się od Ciebie nauczyli. Jeden z nich pozostał w mej pamięci jako najbardziej „dorosły“ i w ogóle fascynujący: „boksera niszczy papierosy, wódka i kobiety“. Bokser był dla chuderlawego uczniaka w ogóle czymś nie z tego świata, a cóż dopiero w towarzystwie trzech takich wspaniałych grzechów! Następne lata, to było sprawdzanie sloganów, nabytej wiedzy i nadziei na przyszłość. Jakoś się nasze zainteresowania nie umiały wtedy spotkać. Dopiero, gdy w zniszczonej Warszawie tupali „panowie tymczasowi“, zdarzyła mi się okazja zbliżenia się do Ciebie. W stosunkowo mało zniszczonym budynku przy ulicy Konopnickiej (budy-

nek Imki) zakwaterował się jakiś pułk Wehrmachtu. Ponieważ większość szyb była wybita, a zima 39-go roku dawała się we znaki wszystkim bez wyjątku, Niemcy zarządzili pośpieszne szklenie okien.

Szkło sprowadzono z bratniej Czechosłowacji, szklarzy szukano na miejscu. Szklarze ze swej strony szukali zarobku także na miejscu. Wszystkie więc na pozór pasowało. Tylko że szklarze, o których tu mowa, to byli dziwni szklarze: dwie najcudniejsze dziewczyny, jakie Wydział Architektury kiedykolwiek oglądał, paru przemitych kolegów z tegoż fachu (architektury, a nie szklarstwa — niestety), oraz niżej podpisany. Nikt z pośród wyż. wym. nigdy w życiu szyby nie dotykał, chyba tylko po to, żeby ją wybić. No, ale trzeba było jakoś na życie zarobić. U państwa Zawiszów, na Wiejskiej, długie rodaków rozmowy nabrały szklatego wyrazu. Że to niebezpieczne, a może nie patriotyczne i czy w ogóle warto, skoro my tego naprawdę nie potrafimy robić. Aż któregoś dnia ś.p. Andrzej Krasicki powiadomił nas, że kości zostały rzucone; udało mu się zamówienie dla nas od szkopów uzyskać. Nie było rady. Zaczęliśmy się starać o fachowe narzędzia. Kit znosiliśmy całymi kilogramami, po noże zajrzeliśmy do sreber rodzinnych. Najtrudniej było o diament, bez którego (ktoś nam powiedział) nawet zaczynać nie można. Po wielu poszukiwaniach udało mi się dostać ten skarb u jakiegoś szklarza na Żabiej. Wszyscyśmy bardzo z niego byli dumni, ale gdy przyszło do krajania, nikt się tego nie chciał podjąć. Więc skończyło się na tym, że mnie spotkał ten zaszczyt.

Nie wiem, czy Ciocia miała kiedyś sposobność popisywać się umiejętnością jakiegoś rzemiosła, kiedy kilka par sceptycznych oczów robi wszystko, by tę operację utrudnić. Jeśli nie, to radzę nie zaczynać.

Po długotrwałych wysiłkach przepiłowania kolejnych tafli kaleczącego materiału za pomocą diamentowego narzędzia, to ostatnie odmówiło posłuszeństwa. Ja go przyciskam mocniej, ja muskam nim szkło, stukam, pukam, pieczę — a tu nic. Nie chce i nie kraje. Dużo jeszcze szkła natłukłem — na podłodze uzbierała się mała górka błyszczących jak brylanty kawałków — zanim okazało się, że diament był, ale go nie ma. Że wyleciał z oprawki, prawdopodobnie właśnie na podłogę, pomiędzy tych kilka ton potłuczonego szkła.

Kupiliśmy nowy diament, tym razem naprawdę ostatni, u tego samego szklarza na Żabiej, ale tym razem poprosiliśmy o instrukcje jak to narzędzie ma się używać. Odtąd wszystko poszło już jak po maśle, czyli po kicie.

Tak, Kochana Ciociu, wstawiliśmy Ci wszystkie brakujące okna. Bardzo to smutne, że nie pozwolono Ci kontynuować Twojej doniosłej pracy w tym i innych gmachach, po całej Polsce rozrzuconych. Życzymy Ci z całego serca, abys jak najprędzej na stare pielesze mogła pourócić. Zanim zaś to się stanie, niech Twoje tymczasowe mieszkanie za granicą będzie jak najwygodniejsze i jak najładniejsze, żebyśmy wszyscy z rozkoszą mogli Ciebie odwiedzać.

Ale okna to już może będą wstawiać tacy, co się na tym trochę znają.

Wiesław Rago

KOMITET REDAKCYJNY

TADEUSZ KOZŁAKOWSKI
BOLESŁAW T. LESIECKI

WIESŁAW RAGO
TADEUSZ ROKICKI

Komitet Redakcyjny składa serdeczne podziękowanie Radzie Głównej Polskiej Imki w Europie Zachodniej i Ognisku — Londyn za pomoc w wydaniu tej Jednodniówki.

W LONDYNIE, 8-GO GRUDNIA, 1963 ROKU

S P I S R Z E C Z Y

	str.
	Obwód okładki
CZYM JEST POLSKA IMKA	
YMCA W ŚWIECIE	1
SKĄD POLSKA IMKA	2
PAWEŁ SUPER	3
ANDRZEJ KRASICKI	3
THE YEAR 1922	— MARGARET L. SUPER 4
LIST OD PRZYJACIELA	— WILLIAM J. ROSE 5
40 LAT ...	— TADEUSZ KOZŁAKOWSKI 7
PRZODOWNIK	— TADEUSZ ZAWADZKI 16
PIOSENKA OBOZOWA	— JERZY PACZKOWSKI 17
MÓJ PIERWSZY OBÓZ (1929)	— BOLESŁAW T. LESIECKI 17
MÓJ PIERWSZ OBÓZ (1963)	— WOJCIECH GILLER 19
KARTKA Z PAMIĘTNIA	— TADEUSZ HERCHENREDER 22
15 LAT MOJEJ WSPÓŁPRACY Z IMKĄ	— MARIAN BOHUSZ-SZYSZKO 24
TĄNCE, HULANKA, SWAWOLA	— IRENA RÓŻYCKA 26
LAURKA DLA CIOCI IMCI	— WIESŁAW RAGO 27



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

572355

Biblioteka Główna UMK



300021054323

1923 – 1963